ROCZNIK XII. Maj 1908. Nr. 5.

Wiadomości Salezjańskie

Organ Związku Pomocników Salezjańskich.

Turyn – Via Cottolengo, 32

TREŚĆ:

DO MATKI

Matka! I cóż serce uczuć może bardziej pocieszającego? cóż myśl nasza pojąć może rzewniejszego? cóż usta nasze wymówić mogą wdzięczniejszego? Matka, to kamień węgielny szczęścia naszego na ziemi, to jutrzenka nadziei na przyszłość, to treść wszystkich cnót, jakie w życiu ludzkiem rozwinąć się mogą. Matka, to uosobiona cierpliwość, zaparcie się, łagodność, praca, czujność, tęsknota; to radość, co życie daje, czysta jak promień słońca; to łza jasna, co pociechę daje jak kryształ wody. Matka, to ogrodnik, co wonne wychowuje kwiateczki, sercem je rozgrzewa, łzami je polewa, aby kiedyś nie zwiędły i nigdy kwitnąć nie przestały u podnóża tronu Boskiego.

Ach! jeśli każdej matki, która pojęła głębokie tego słowa znaczenie, tak wielkie i święte jest powołanie na ziemi, to cóż mówić o Tej Matce, która jest Matką wszystkich matek i wszystkich dzieci i Boga? Do niej niech spieszy każdy ze łzami, niech się rzuci do Jej nóg i niech je gorącymi rozgrzeje pocałunkami

Ona przyciśnie do serca każde dziecko i wycałuje łzy z ócz jego i usta do ust przytuli i skłoni głowę ku niemu i położy błogosławiącą dłoń na głowę Jego.

Idźmy do tej Matki!

LOURDES-TURYN.

Aby wiarę katolicką obalić, nazwano ją religją cudów a cud określono jako negację naukowego badania zjawisk przyrody. Wypowiedziano cudom wojnę. Rugowano je zewsząd, z historji, z wierzeń religijnych, nawet z Ewangelji, zastępując je lub tłumacząc nieuchwytnymi dla ciemnych wieków wpływami szczególniejszych warunków, działaniem sił niezbadanych, sugestją, psychopatją, blagą. Teorję tę i metodę stosowano do wszystkich zagadkowych zjawisk religijnych, naciągano ją do faktów lub fakta naciągano do niej, aby wszędzie pozacierać ślady Boga i Jego wpływu na losy ludzkie.

Nie oszczędzono też i takich wytworów wiary, jak u nas Częstochowa, Ostrobrama, Kalwarja, Piekary, Kochawina, a za granicą Loreto, Asyż, Oropa i t. d. Załatwiano się z nimi bardzo po prostu: są to rezultaty fanatyzmu, naiwności, ciemnoty; pomniki czasów zamierzchłych i mało znanych, które ludowi służą zwykle za tło do historyjek o świętych, cudach, widzeniach, zachwytach: słowem są to objawy chorobliwej gorączki religijnej, następstwa prymitywnego pojmowania świata, a jako takie należą do czasów, które bezpowrotnie minęły.

Aż tu naraz nie w średniowieczu, nie w epoce wybujałej religijności, nie w czasach legend i baśni cudotwórczych, ale za naszej pamięci, w drugiej połowie chłodnego wieku XIX, równolegle z rozkwitem krytyki naukowej powstają dwa nowe miejsca cudowne i elektryzują świat stygnący i zobojętniały, rzucając smugi światła na wszystkie narody, wstrząsając sumieniem ludzkiem, imponując rozumowi cudami, wytrzymującymi wszelką krytykę naukową. Z *Lourdes* płynie wezbranem korytem cześć Niepokalanej, z *Turynu* chwała Wspomożycielki.

W obu miejscach zaznaczył się dobitnie pierwiastek nadprzyrodzony. Bezbożność rzuciła się na niego uzbrojona we wszystkie środki naukowe, wszczęła z nim walkę nie przebierającą w środkach i... odwróciła się pokonana. Cud się mimo wszystko utrzymał. Widzenia Bernadety pozostały widzeniami, chociaż nie cofnięto się przed niczem, aby je je okrzyczeć jako sfigurowane marzenia. Objawienia księdza Bosko zatwierdziły się same przez się i zjednały mu wobec świata nazwę świętego, lubo Kościół co do nich jeszcze się nie wypowiedział. Cuda w Lourdes stały się dawno własnością opinji światowej; cudów turyńskich spisano tomy.

Daremnie łudzili się wrogowie Kościoła, że to chwilowe uniesienie, po którem nastąpi upadek. Umarła Bernardeta, zmarł ks. Bosko; od pierwszych objawień w górach pirenejskich minęło lat 50, upłynęło lat 42 od ukończenia świątyni Wspomożycielki w Turynie. Koronowano Matkę Bożą na obu miejscach; ks. Bosko doczekał się tytułu Czcigodnego, a Lourdes i Turyn nie tylko nie podupadły, ale nabierają

coraz większego znaczenia, dostarczają przedmiotu literaturze światowej, są środowiskami wiary, źródłami łask tak głośnymi, że z całej ziemi tłumy pielgrzymów jeżdżą do nich szukać pociechy i cudu.

Na co się zdały naganki i krzyki? Uwydatniły lepiej ten fakt, że Kościół wiecznie młody, ma w sobie taki zasób sił, iż i z nowoczesnym naporem pogaństwa da sobie radę, jak ze wszystkimi poprzednimi nieprzyjaciółmi, mniejsza o to, czy ono walczy pod egidą nauki, wolności, czy pod znakiem anarchji i sekty. Pokazało się po raz tysiączny, że Marja stoi na straży wiary i w chwilach najtrudniejszych pomoc swoją zaznacza wyraźnie choćby mnóstwem cudów. Byliśmy świadkami, że kto śmie się targnąć na cześć Marji, przyspiesza swój upadek, ginie w błocie i kałuży.

Częstochowa, Ostrobrama,.... Loreto przetrwały wieki, nie przeżyły się, są dziś tem, czem były przed 300 laty, bo oparte są na mocy Marji. Żadne wysiłki nie zmażą ich historji i nie zmniejszą ich wpływu na wiernych. A że się liczba miejsc cudownych właśnie za naszych czasów uzupełnia takiemi placówkami, jak Lourdes i Turyn, jest to naszą chlubą i pociechą. Miejsca cudowne nie są dziełami rąk ludzkich, są tworami Opatrzności, a istnieć mogą tylko w tej wierze, którą drwiąco choć słusznie nazwano religją cudów.

JUBILEUSZ JEGO APOSTOLSKIEJ MOŚCI
Cesarza Austrjackiego.



Dnia 2. grudnia b. r. upływa sześćdziesiąt lat od chwili wstąpienia na tron Habsburgów Cesarza Franciszka Józefa I.

Ludy zamieszkujące Austrję, stosując się do życzenia wyrażonego przez swego ukochanego Monarchę, przygotowują się do uczczenia tego naprawdę rzadkiego i niezwykłego Jubileuszu wspaniałemi dziełami miłosierdzia i dobroczynności.

Poważny wiek, liczne i wielkie uczynki miłosierdzia dokonane przez Cesarza lub przezeń popierane, duch poświęcenia w spełnianiu swego obowiązku, dobroć i hojność Jego serca w stosowaniu łaski monarszej, przedziwna moc chrześcijańska i zdanie się na Wolę bożą w wielkich nieszczęściach, jakie Go dotknęły, zjednały Dostojnemu Starcowi miłość, cześć i poważanie wszystkich ludów zamieszkujących Austrję, bez różnicy ich języka, zwyczajów i właściwości narodowych.

Również synowie ks. Bosko, pomiędzy którymi jest niemało poddanych Jego C. K. Mości, mają zawsze żywo w pamięci życzliwość i względy doznane niejednokrotnie od Cesarza Franciszka Józefa, a zwłaszcza podczas Jego pobytu w Trydencie w czerwcu r. 1904. Chętnem więc sercem przyłączają się do Cesarskich Uroczystości Jubileuszowych i modlą się dla Dostojnego Jubilata o jak najobfitsze łaski od Boga i Najśw. Panny Marji Wspomożycielki.

Dla uniknienia nieporozumień i zwłoki przy załatwianiu naszej korespondencji, uprasza się usilnie tych naszych Pomocników, którzy zwykli pisywać do Turynu, aby listy z prośbą o odprawienie Mszy świętych, nowenn itp. adresowali wyłącznie na imię przew. X. Michała Rua, Via Cottolengo, 32 - Torino (Italia), a nie inaczej. W sprawach zaś dotyczących Związku Pomocników Salezjańskich, prosimy zwracać się do Dyrekcji Wiadomości Salezjańskich. — Ogólnikowy adres p. t. "Oratorjum Salezjańskie", jakim się niektórzy posługują, jest niewystarczający i nie należy go używać.

Z życia Czcigodnego sługi Bożego ks. Jana Bosko.

DALSZE OBJAŚNIENIA DEKRETU

św. Kongregacji Obrzędów z dnia 24. lipca 1907 r. (1)

W kwietniu 1847 r. wzruszony nędzą i opłakania godnem położeniem kilku młodzieniaszków, z radością zaczął ich przygarniać w domku, który on z matką zamieszkiwał; z pomocą Małgorzaty zaopatrywał ich w rzeczy potrzebne do ich wychowania i wyżywienia.

Pewnego wieczora w kwietniu 1847 r. ks. Bosko zatrzymawszy się dłużej w mieście u chorego, wracał do domu późno, przechodząc przez łąki miejskie zwane wówczas fortecznemi. Gdy był blizko dzisiejszej ulicy Garibaldiego, trafił na gromadę złożoną z mniej więcej 20 najgorszego gatunku łobuzów, nie znających dotychczas ani ks. Bosko, ani Oratorjum. Ci ujrzawszy zbliżającego się kapłana, zaczęli niezbyt grzecznie dowcipkować: ,,Księża to same sknery,'' odezwał się jeden z nich. ,,A pyszni, a wymagający!'' dorzucił drugi. ,,Przekona my się na tym!'' zakrzyknął inny, i t. p.

Na te niezbyt zachęcające słowa ks. Bosko zaczął zwalniać kroku; byłby chętnie to szanowne towarzystwo ominął, ale zauważywszy, że już nie czas po temu, śmiało wszedł pomiędzy nich i udając, że nie słyszał, co mówili: ,,Dobry wieczór przyjaciele,'' odezwał się do nich, ,,jak się macie?'' ,,Nie tęgo, księże Dobrodzieju,'' odrzekł jeden z największych śmiałków;'' chcielibyśmy sobie pociągnąć z buteleczki, a tu kieszenie puste. Ot, proszę nam zafundować jaką szklaneczkę!'' ,,O tak, tak, szanowny księże; prosimy nam zafundować!'' zaczęli inni wrzaskiem mu dopomagać: ,,bo inaczej nie puścimy!''

I przy tych słowach tak się wkoło niego ścisnęli, że kroku dalej dać nie mógł.

,,Dobrze, dobrze, zafunduję,'' odrzekł Wielebny; zafunduję każdemu i sam się przytem napiję.'' ,,Owszem, bardzo prosimy, księże Dobrodzieju! Cóż to za dobry ksiądz! O, gdyby wszyscy tacy byli? A więc ruszajmy. Jest tu niedaleko miły szyneczek t. zw. ,,Alpejski.''

I ks. Bosko, chcąc nie chcąc, powędrował z tymi oberwańcami, by uniknąć smutniejszych następstw i przekonać się przy sposobności, czy nie uda mu się zjednać jakiej duszyczki.

Łatwo sobie wyobrazić to piękne widowisko: ksiądz w szynku i do tego w takiem otoczeniu! Gdy weszli, wszyscy tam obecni oczom swoim wierzyć nie chcieli; ale też wszyscy wnet się dowiedzieli, kim był ten kapłan i po co tam przyszedł, tak, że zgorszenia nie dał nikomu.

Zawoławszy gospodarza, ks. Bosko słowa dotrzymał i kazał przynieść najprzód jedną, potem drugą butelkę. Gdy swoich łobuzów całkiem rozweselił i udobruchał, rzekł do nich:

A teraz na was kolej zrobić mi pewną przyjemność.

— Owszem, owszem, księże Bosko (już był im swoje nazwisko powiedział), prosimy nam powiedzieć jaką; gotowiśmy nietylko jedną, ale i dwie i trzy przyjemności księdzu zrobić. Odtąd chcemy być jego przyjaciółmi.

— Jeśli chcecie być mymi przyjaciółmi, powinniście mi zrobić przyjemność i odtąd nie bluźnić więcej imieniowi Bożemu, ani Jezusa Chrystusa, jak to niektórzy dziś wieczorem czynili.

— To prawda, ma ksiądz rację, rzekł jeden z bluźnierców.

— Ale co tu robić? Wyskoczy czasem słowo, ani się człek obejrzy. Ale na przyszłość, to już będzie zupełnie inaczej; za każdym razem ukąszę się w język, to się prędko odzwyczaję.

Inni to samo obiecali.

— A zatem dobranoc; dziękuję wam i wychodzę zadowolony. W niedzielę zaś czekam na was w Oratorjum. I wy też wyjdźcie teraz; niech każdy idzie do siebie.

— Ale kiedy ja nie mam domu! odezwał się jeden.

— Ani ja, dorzucił drugi; a po nich powtórzyli to samo jeszcze inni.

— A gdzie sypialiście dotąd?

— To w tej, to w owej stajni, razem z końmi w jakim zajeździe; niekiedy w nocnym przytułku za cztery soldy; czasem u kogo znajomego.

Ks. Bosko wnet zdał sobie sprawę, ile niebezpieczeństw groziło moralności tych biedaków, po większej części przybyszów.

— A więc zróbmy tak: ci, którzy mają rodziców i dom, niech idą do siebie, i pożegnał ich. Wy zaś chodźcie ze mną.

(1) Zob. *Wiadomości Salezjańskie* r. 1908, nr. 1, str. 9 i nast.

Poczem wyruszył do Waldoko z dziesięcioma czy dwunastoma tymi mizerakami, bo przyłączyło się do nich, gdy szli ulicą, jeszcze jakich sześciu. Po przyjściu do Oratorjum, gdzie go z obawą oczekiwała matka, ks. Bosko kazał swoim gościom odmówić: *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Marja*, które już byli zapomnieli; potem po drabinie zaprowadził ich na strych gdzie było siano, obok skromnego mieszkania dla siebie przy Oratorjum wynajętego; dał każdemu po kołdrze i po prześcieradle a w końcu zaleciwszy, by milczeli i niedokazywali, rzekł im „dobra noc,"



J. E. p. dr. Rodriguez Alves, były prezydent Brazylji, w Schronisku Najsł. Serca Jezusowego w Rzymie. *(Zob. str. 98)*.

kontent, że, jak mu się zdawało, dał początek Przytulisku, które otworzyć zamierzał.

Wszakże nie tego rodzaju chłopcami chciała Boska Opatrzność posłużyć się, by dać podstawę tak wspaniałemu dziełu; ks. Bosko miał się o tem przekonać zaraz nazajutrz. W samej rzeczy, z rana, skoro świt, wychodzi z pokoju, by zajrzeć do swoich chłopców, rzucić im dobre słówko i wysłać do roboty. Wszedłszy na podwórze, nie słyszy żadnego głosu. Sądząc, że jeszcze śpią smacznie, wchodzi po drabinie, by ich obudzić, a tymczasem od paru godzin już ich nie było, bo sami się zbudzili, pozwijali kołdry i prześcieradła i z niemi uciekli.

Zatem pierwsza próba przytuliska się nie udała; ale nie zabrakło dobrej woli temu, któremu je Bóg poruczył.

Było to późno wieczorem w maju r. 1847-go. Lał deszcz ulewny. Tylko co ks. Bosko z matką skończyli byli kolację, gdy staje we drzwiach chłopak 15-letni, przemokły do nitki i prosi o przytułek i kawałek chleba. Ktoś znający Oratorjum tu go skierował, a raczej sama Opatrzność Boska, która chciała właśnie tego wieczora dać początek Przytulisku św. Franciszka Salezego.

Zacna matka ks. Bosko Małgorzata uprzejmie zaprosiła chłopca do kuchni, posadziła go przy piecu, ogrzała, wysuszyła, dała chleba i zupy.

Gdy wypoczął i zjadł, ks. Bosko zapytał go, skąd przychodzi, czy ma rodziców, czy umie rzemiosło.

Chłopak odpowiedział:

— Jestem biednym sierotą; przybyłem niedawno do Turynu, by znaleźć robotę mularską. Miałem z sobą 3 liry, ale je wydałem, zanim coś zarobiłem; teraz nie mam ani pieniędzy, ani roboty.

— Czy byłeś już u Komunji św?

— Jeszcze nie.

— Czy jesteś już bierzmowany?

— Jeszcze nie.

— Czy chodziłeś do spowiedzi?

— Byłem kilka razy za życia mojej drogiej matki.

— Dokądże teraz chcesz iść?

— Czy ja wiem? proszę mnie tu w jakim kąciku przenocować.

Powiedziawszy to, zaczął płakać. Na ten widok litościwa Małgorzata, która miała prawdziwie matczyne serce dla chłopaków ks. Bosko, sama się rozpłakała. Ks. Bosko też był mocno wzruszony. Po chwili rzekł:

— Gdybym wiedział, że nie jesteś złodziejem, urządziłbym ci u siebie posłanie; ale już byli tacy, co mi kołdry powynosili i boję się, by i z tobą coś podobnego się nie wydarzyło.

— O nie, księże; proszę być spokojnym. Jestem wprawdzie ubogi, ale nic nigdy nikomu nie ukradłem.

— Jeśli się zgodzisz, rzekła matka do ks. Bosko, zatrzymam go na noc dzisiejszą, a o jutrze pomyśli Bóg.

— Gdzie go matka chce położyć.

— W kuchni.

— A jak rądle powynosi?

— Postaram się, by to nie nastąpiło.

— To dobrze, jestem zupełnie za tem.

Wówczas matka z synem wyszli na podwórze, razem z sierotą nazbierali trochę cegieł, ustawili je w cztery słupki na środku kuchni, położyli na nich kilka desek, na deskach materac z łóżka ks. Bosko, prześcieradło i kołdrę. Była to pierwsza sypialnia przytuliska salezjańskiego w Turynie, gdzie dziś mieści się tysiąc wychowanków. Któż w tem nie widzi prawicy Bożej?

Po urządzeniu łóżka, litościwa niewiasta przemówiła do chłopca o potrzebie pracy, wierności i religji, rozpoczynając w ten sposób praktykę do dziś dnia w Oratorjum i w innych naszych zakładach zachowywaną a polegającą na zwracaniu do chłopców przed nocnym spoczynkiem kilku serdecznych słów. W końcu zawezwała go do pacierzy.

Już zapomniałem, rzekł chłopiec, rumieniąc się.

Będziesz je z nami odmawiał, odpowiedziała Małgorzata. I ukląkłszy, kazała mu pacierze za sobą powtarzać. Po oddaniu ,,dobrej nocy'' ks. Bosko z matką wyszli, przyczem matka, by rądle zabezpieczyć, zamknęła kuchnię na klucz i otworzyła dopiero nazajutrz z rana. Ale chłopak nie był łotrzykiem i pragnął uczciwie pracować na chleb; to też postępowaniem swojem zasłużył stać się kamieniem węgielnym Zakładu prawdziwie opatrznościowego.

Nazajutrz ks. Bosko wystarał mu się o zajęcie. Szczęśliwy chłopak na obiad i na noc przychodził do Oratorjum aż do zimy, gdy po ustaniu robót wrócił do swojej wsi.

,,Odtąd'' pisze ks. Bonetti w swojem *Dwudziestopięciolecin* jeszcze za życia ks. Bosko, ,,wiadomości o nim nie było i prawdopodobnie wkrótce umarł. Mimo poszukiwań, nie udało się nam odnaleźć nazwiska wychowanka z tej prostej przyczyny, że wówczas ks. Bosko spisów ich jeszcze nie prowadził. A może i Pan Bóg tak chciał, by widoczniejszem było Jego działanie w tem dziś już olbrzymiem dziele, bo, jak mówi Dekret: *Przytulisko św. Franciszka Salezego miało w r.* 1851 *trzydziestu, w r.* 1860 *po powiększeniu domu, czterystu, zaś w r.* 1870 *ośmiuset wychawanków.''*

Z MISJI WŚRÓD INDJAN HIWAROSÓW.

(Ciąg dalszy).

Przeprawa przez las. — W starym domu Naranzy. — Trudna katechizacja. — Jak można najłatwej odzyskać u Hiwarosów utraconą miłość.

Przybili do brzegu; pierwszy wyskoczył z łodzi ojciec, za nim synowie.

— *Maaghe, maaghe, maaghe, aparu obispo,* zawołał *Naranza.* — Dobrze, dobrze, dobrze Ojcze Biskupie. Nie poprowadzę cię do nowego domu, bo to daleko. Pójdźmy tędy.

I zapuścił się w gęsty las, pchając się naprzód to lewym bokiem, to prawym. Towarzystwo poszło pieszo za przewodnikiem, idąc gęsiego wązką ścieżyną zasłaną zgniłemi, omszałemi gałęziami. Co chwila napotykano rowy i strumyki. Indjanie przechodzili w bród; misjonarze odcinali konary, które z łatwością padały pod ciosami siekiery i zarzucali prowizoryczne pomosty. Tymczasem piękni i barczyści młodzieńcy hiwaroscy, wsparci na swych dziretach, przyglądali się obojętnie raźnej robocie misjonarzy, nie myśląc przyjść im z pomocą.

— Dalejże, zawołał ks. biskup, pomóżcie nam!

— Nie, odparli sucho, u Hiwarosów inne prawa.

— Rodzina Naranzy, szepnął O. Francisko, ma najmniej ducha chrześcijańskiego. Nawet ojciec, który niegdyś miał dużo do czynienia z chrześcijanami, obecnie unika bliższego zetknięcia się z nimi.

— Wogóle spostrzegam, zauważył ks. biskup, że młodzież się nagina, ale starsi są przebiegli, samolubni, mściwi.

— A któż za was pracuje? zagadnął ks. biskup Naranzę.

— Kobiety pracują, odrzekł dumnie starzec.

— Hiwaros rozkazuje.

Przybyli do zagrody Naranzy.

Katipi, który szedł w tyle z O. Hiwaro, rzekł mu na ucho:

— Naranza nie chce nam pokazać swego nowego domu. Powiada, że daleko i zła droga. Zapewne ukrywa tam coś takiego....

Dom był gęsto obsadzony bananami i juką. Zwykłe ujadanie psów a w dodatkus krzek papug i krzyki małp powitały gości. Chata, czy szałas, na wszystkie strony otwarta. Trzy blade, głupowate kobiety pracowały skulone i pochylone ku ziemi. Do ich grona przyłączyła się wkrótce czwarta, silniejsza, która przyniosła z pola *cianginję* i jukę. Obok nich leżało nagie, z wykrzywioną kością pacierzową, bezwładne dziecko.

Przybyli zajęli miejsca, jedni na licho skleconych stołkach, inni na ziemi. Synowie Naranzy obładowani ozdobami i pomalowani na całem ciele, popisywali się swą gadatliwością; kobiety natomiast nie okazywały ani szczypty rozumu i zdawało się, jakoby nie posiadały mowy: tylko od czasu do czasu przechylały w tył głowę i wybuchały idjotycznym chichotem. Naranza wyglądał przygnębiony i smutny; był wychudły i bez ozdób na ciele.

— Dlaczego się nie przystroiłeś, jak twoi synowie? zagadnął go ks. biskup.

— Trzeba ci wiedzieć, *aparu*(ojcze), że gdy Hiwaros pości, nie nosi ozdób, nie je; pije tylko i jest smutny.

— To ty pościsz? a z jakiego powodu?

— Jeden z moich synów pije w tych dniach sok tytoniowy — i wskazał na młodzieńca tęgiego, korpulentnego, podobnego raczej do tura.

— Objaśnij mnie, Naranzo. Dlaczego ty pościsz, a on poco pije?....

— Aha! To ty nie znasz zwyczajów hiwaroskich? A przecież opowiadano mi, że w twoich stronach jest dużo a dużo Hiwarosów, więcej aniżeli tutaj. I ty nie wiesz, że Hiwaros pije ten trunek, aby się stać tłustym, grubym, silnym? I ty nie wiesz, że w tym czasie ojciec jego musi pościć? Sprowadziłem wielkiego kapłana (znachora) *Wishu*, który memu synowi wlewa da gardła napój. I ty nie wiesz, że drugi mój syn udał się na wojnę do Pongo? Poszczę także dlatego, aby mógł zwyciężyć i zabić wielu nieprzyjaciół.

— Biedny Naranzo! I ty odpychasz wiarę chrześcijańską.... Czy nie jesteś chrześcijaninem?

— Chrześcijanie są bardzo nędzni.... Żeby to co podarowali....

— Podarują, zobaczysz, ale tymczasem posłuchaj nauki Ojca Hiwaro.

Misjonarz wyjął wtedy swój krucyfiks i podczas gdy jego towarzysze krzątali się w kąciku około obiadu, on głosem stentorycznym (aby zagłuszyć szczekanie psów, skrzeczenie papugi i odgłos strumyków) rozpoczął kazanie od wstępu: ,,Bracia moi Hiwarosi: mężczyźni, kobiety i dzieci, posłuchajcie....'' Kazaniem dowiódł, że niemało skorzystał z nauki wymowy pobieranej od dzikusów.

Naranza z miną poważną słuchał, interesował się mową; mężczyźni robili uwagi; kobiety, istoty nieszczęśliwe, wybuchały spazmatycznym śmiechem. Kaznodzieja chciał jednak jaśniej i gruntowniej wyłożyć prawdy. Słuchano go z natężeniem, potrząsając czuprynami; tylko kobiety zachowywały się tak, jak gdyby nauki wcale się ich nie tyczyły. Synowie Naranzy drapali się po czole, chcąc coś zrozumieć; ich ojciec zaś, usiadłszy w kuczki i obłapiwszy kolana ramionami, mruczał co chwila szorstkim głosem:

— Nie pojmuję.

O. Hiwaro powtarzał, objaśniał, lecz stary trząsł przecząco głową, mówiąc raz po raz:

— Nie pojmuję tego, mówię ci, że nie pojmuję.

— Naturalnie, dodał misjonarz. Ty nie pojmujesz, bo rzeczy, które wykładam, są za wielkie na twą głowę. Słuchaj. Bóg jest większy, aniżeli wszystkie ot te lasy. Jakżeby go twoja głowa maleńka mogła pojąć?

— Powiadam ci, że nie rozumiem, odparł obruszony katechumen. Jak mogę uwierzyć w to, czego nie rozumiem?

Wreszcie nie mogąc się już pohamować, zaczął sapać gniewliwie i rzekł:

— Przedtem kochałem *aparu obispo* (ojca biskupa); lecz teraz dlaczego mam go kochać? Gdzież jego podarki?

— Rozumiem cię, rzekł biskup, otwierając torbę z błyskotkami.

Zauważył to przebiegły Naranza i podczas gdy inni z radości parskali śmiechem, on prowokując niejako hojność biskupa, powtórzył głośniej:

— Straciłem miłość dla ciebie.

— Tak? tak? odszukamy ją, nie bój się — odparł ks. biskup.

— Po cóż tu przybyłeś? powtórzył Naranza, udając rozgniewanego i nie odrywając oczu od upatrzonych błyskotek. Nie mogłeś zostać w swoim kraju, uczyć tamtejszych Hiwarosów?

— Ach! moi Hiwarosowie nie słyszą....

— Co? wtrącił jeden z synów Naranzy, czy ogłuchli?

— Bynajmniej. Zamykają uszy, aby nie słyszeć.

— To dlaczego my mamy słuchać?

— Bo wy jesteście lepsi, aniżeli moi Hiwarosowie, odpowiedział ks. biskup z taką słodyczą,

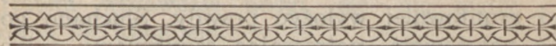
że z twarzy gburowatego starca znikł zupełnie zły humor, widokiem podarków już poprzednio znacznie ułagodzony.

— Jak mogli się tak popsuć, będąc przy tobie?

— Naranzo! pytasz o zbyt długą historję. Gdybym ci ją opowiedział, możebyś już nigdy nie odzyskał utraconej dla mnie miłości.

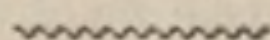
— Teraz ją odzyskałem, odrzekł prędko Naranza, sięgając chciwie do torby.

(*C. d. n.*).



Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, które Pomocnicy Salezjańscy zyskać mogą w miesiącu czerwcu.



Pomocnicy salezjańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencję Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu czerwcu następujące odpusty:

A. — *Zupełne:*

1) W uroczystość Zesłania Ducha św. (7. czerwca),

2) W uroczystość Trójcy Przenajśw. (14. czerwca).

3) W uroczystość Bożego Ciała (18. czerwca).

4) W dzień św. Jana Chrzciciela (24. czerwca).

5) W dzień Wspomnienia św. Pawła Apostoła (30. czerwca).

6) W dzień, w którym się wpiszą do Związku.

7. Raz w miesiąc, w dzień przez każdego dowolnie obrany.

8. Raz w miesiąc, w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t. zw. dobrej śmierci.

9) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu Jezusowemu.

10) Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekollekcje.

11) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Cząstkowe:*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

c) Ilekroć wzbudziwszy w sobie conajmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny: *odpust 300 dni.*

Wszystkie powyższe odpusty, z wyjątkiem odpustu zupełnego w godzinę śmierci, można ofiarować za dusze w czyścu cierpiące.

C. — *Odpusty stacyjne:*

Pomocnicy, zwiedzając jakikolwiek kościół lub kaplicę publiczną i modląc się tam na intencję Ojca św. zyskać mogą:

a) W wigilję Zielonych Świątek: *odpust 10 lat i tyluż kwadragen.*

b) W uroczystość Zesłania Ducha św. i we wszystkie dni oktawy, aż do soboty włącznie, wliczając w to suche dni: *odpust 30 lat i tyluż kwadragen.*

D. — *Przywileje:*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

E. — *Indulty.*

a) Pomocnicy chorzy lub rekonwalescenci, którzy nie mogą wygodnie wychodzić z domu, dostępują wyżej podanych odpustów, jeżeli zamiast zwiedzenia kościoła zmówią pięć Ojcze nasz, pięć Zdrowaś i pięć Chwała Ojcu.

b) Pomocnicy żyjący w seminarjach, kolegjach i innych Zgromadzeniach, mogą dostąpić wszystkich odpustów nadanych Związkowi Pomocników i odpustów udzielonych kościołom Zgromadzenia Salezjańskiego, jeżeli wypełnią inne warunki i zwiedzą swój kościół, lub w braku tegoż, prywatną kaplicę swego domu.

Uwaga. — Aby dostąpić powyższych *odpustów,* trzeba należeć do Związku Pomocników i odmawiać codziennie *Ojcze Nasz, Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu* na intencję Ojca św. z westchnieniem: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

(Dekrety św. Kongregacji Odpustów i Relikwji z 1. 10. 1904 i z 8. 5. 1906 r.).





SYLWETA PIUSA X.

(Na 50°letni jubileusz Jego kapłaństwa). *



Gdy osierociał swą chrześcijańską owczarnię przesławny jej Pasterz Leon XIII., wtedy synowski żal serc wiernych wzmagała trapiąca obawa, kto zastąpi tę wielką stratę Kościołowi. Umierał bowiem Papież niepospolity, Papież Różańcowy, Papież społeczny, światły twórca dziesiątek encyklik, polityk utalentowany, poeta klasyczny, mecenas sztuk na miarę starożytnych, pan majestatu absolutnego a przystępności ojcowskiej, mąż wszechstronny w cnotach i dziełach. Umierał zaś prawie niespodziewanie, bo wybrany jako słabowity, blizko siedmdziesięcioletni starzec, zdawał się przez ciąg swego ćwierćwiekowego pontyfikatu raczej odmładniać, niż sędziwieć, i w dziesiątym krzyżyku swojego życia pracując, pisząc, rządząc, wydatnie dbając o setki milionów dusz, zdumiewał nawet innowierców, imponował takim władcom do podziwu nieskorym, jak Wilhelm i Edward; a umierał nie zmożony starością, trudem, zmartwieniami i chorobą, ale przez błędne zabiegi lekarzy. Nawet w ostatnich swoich minutach o Kościół się troskać nie przestał i ostatniem swem słowem zebranym współpracownikom swoim pieczę o niego przykazał. Któż więc był zdolnym brak takiego Papieża złagodzić?

Pieczę nad Kościołem roztoczył Bóg. Dziwnie szybko — minęło dni niewiele — po zawiłem starciu zdań, osamotnieli rozgłośni kardynałowie „papabiles,'' a głos powszechny głównych książąt Kościoła obwoływał Męża cichego, w Rzymie nieznanego, w Kurji bez wpływu, w świecie niebłyszczącego, oddalonego i ubogiego arcypasterza weneckiego, Józefa Sarto. W kaplicy Sykstyńskiej opadły baldachimy nad tronami purpuratów i oczy wszystkich dostojników ze czcią zwróciły się ku tronowi Jego. Swiadczą, że usilnie musieli nalegać i perswadować, nim się wymawiać zaniechał i stał się posłusznym woli ogółu i zapewne natchnieniu Opatrzności.

*) Szereg artykułów jubileuszowych o Papieżu wzbogacamy niniejszą pracą p. dra Kazimierza Lubeckiego, szambelana Ojca św. Autorowi wyrażamy szczerą wdzięczność za udzielenie nam manuskryptu.

* * *

Imię Piusa, które sobie obrał, przedziwnie doń licuje: jest to rzeczywiście Papież cały pobożny. Pobożność jest Jego cechą najbardziej znamienną; papieski tytuł „Świątobliwość'' doskonale w Jego osobie się ziszcza. Sam nabożeństwa budującego, dla otoczenia nauczyciel przykładem. Spragnionym łask Bożych całe ich rzeki otwiera ten hojny szafarz Chrystusowy. Nigdy jeszcze nie wytrysnęły tak obficie strumienie z gór niebieskich: tylko przyjść i czerpać.

Niezliczone, niebywałe nadaje odpusty. Na każdym kroku można ich dostąpić. Natchnął był Pan serca czyste i żarliwe do aktów strzelistych; krótkie, płomienne ku Niemu westchnienia, wmieszane w życie, uświęcają je nawskróś. Jest wśród tych klejnotów ducha chrześcijańskiego jeden akt szczególnie piękny. Szczere jego powtarzanie uwolniłoby świat od nieogarnionych klęsk pychy. Proste są słowa tej modlitewki: „Jezu cichy i pokornego serca, uczyń serce moje wedle serca Twego.'' A jednak to jeden z najświetniejszych utworów w dziejach modlitwy. Dawno Papieże zwrócili na ten akt strzelisty opiekuńczą uwagę i uzacnili go wielkimi odpustami. Lecz dopiero Pius X. odznaczył go nad inne: bo już nie raz na dzień przyznał zań odpust cząstkowy, a co miesiąc zupełny, lecz nadto za każde takie westchnienie dał odpust trzystu dni i przywilej ofiarowania go za dusze zmarłych. A tak zmusza żądnych odpustu i pragnących ulżyć niepojętej męce pokutujących w czyścu, aby często we dnie i w nocy odmawiali ten akt, przywodzący na myśl wzór cichego Baranka i skłaniający do cnoty wybitnie chrześcijańskiej i pierwszorzędnie znakomitej do pokory. Pius X. w czynie tym objawił zasadniczy rys Swojej osobistości; nastrój ducha Jego dał się tu Kościołowi poznać.

Szczodrobliwość Ojca Świętego w rzeczach Bożych istotnie jest ojcowska. Z głęboką miłością, z czułem przewidywaniem obmyśla zaspakajanie religijnych potrzeb swych dzieci. I oto w tej głowie troskliwej, nad którą czuwa Duch Swięty, rodzi się myśl w historji odpustów niesłychana: obdarzyć nas na godzinę śmierci odpustem zupełnym, który można zyskać z góry za życia.

Serca wierzących, niespokojne na wyobrażenie ostatecznej chwili, lękające się o nagłość i straszliwość zgonu, napełniły się prawdziwą pociechą. Zaraz bowiem pierwszego roku swego papiestwa, w dniu 9. marca 1904., wydaje Pius dekret naj-

*

miłościwszy z zapewnieniem odpustu zupełnego na śmierć, ktokolwiek w ciągu życia po Spowiedzi, Komunji Świętej i modlitwie na intencję Kościoła doda takie zdanie się na wolę Bożą:

,,Panie, Boże mój, z ręki Twojej przyjmuję z poddaniem się i chętnem sercem każdy rodzaj śmierci, jaki Ci się będzie podobał, ze wszystkiemi jego trwogami, karami i cierpieniami. *Amen.*" W tem ustanowieniu stwierdziła się roztropność pobożnego Papieża, roztropność najszlachetniejsza w znaczeniu cnoty kardynalnej. Wielkością obiecanej łaski zniewalając katolika do wzbudzenia owego aktu, niezrównanie ćwiczy On wiernych w myśli o śmierci, a ćwiczy nie przerażając, lecz ukajając. I dzięki temu gotowa sposobność, aby urzeczywistniał się aksjomat kościelny: ,, Pamiętaj na śmierć, a nigdy nie zgrzeszysz."

Krótkie jest jeszcze dotychczas panowanie Piusa X., a już działalność Jego tak płodna była w dokumenty pobożności, że materjał urasta nieobjęty. Czytajmy bolesną allokucję do kardynałów o przejściach Kościoła we Francji, allokucję z serca tak bezinteresownego, że ofiarnie najbogatsze francuskie świętopietrze na tamtejsze potrzeby przeznaczyło. Czytajmy Syllabus z dn. 3. lipca 1907., jak nie przygniatając sumień grozą herezji, jasno broni boskości Pisma Świętego. Czytajmy encyklikę o modernizmie, jak ona uświadamia, że nietylko ścisły dogmat, ale i ogólny pogląd Kościoła, duch, jest dla katolika miarodajną wskazówką.

Powstawało, porywało się wielu na oświadczenia papieskie, ale nikt z największych nawet wrogów nie zdołał Mu zaprzeczyć przenikającej wszystko pobożności. Do czego jest powołany? do strzeżenia spraw Bożych. To też w istocie spełnia i czuwa.

I zaprowadził On zleconych sobie od Boga, co do praktyk religijnych, na takie szczyty, nad którymi jest już tylko Niebo. Cóż bowiem jest w katolicyzmie takiego, że wstrząsa dusze i wyrzuca z nich ostatki zmaz, że przeistacza ludzi w żywe płomienie miłości, że człowieczeństwo wiąże z realnem, osobistem Bóstwem; cóż jest w katolicyzmie najwyższego? Niewątpliwie Komunia Swięta. Truchleli też przed Nią nawet najświątobliwsi, a w sumieniach powstawało wahanie między wyraźnem wzywaniem Chrystusowem a głęboką niegodnością człowieka. I nieraz przeważała w katolikach pokorna powściągliwość nad potężnem pożądaniem Ciała i Krwi Pańskiej. Po obu stronach były silne argumenty i wzniosłe przykłady.

Pius X. rozwikłał trudności, rozwiał niepewność dusz za Jezusem stęsknionych. Dekretem, nieobliczalnym w błogosławione skutki, wydanym 20. grudnia 1904, zaleca wszystkim wiernym częste, codzienne przyjmowanie Komunji Świętej, od czego nikt, będący w stanie łaski i szczery w intencji, odsuwanym być nie może. Rozstrzygnęły się wątpliwości pobożnych, ustała raz na zawsze chwiejność spowiedników i dusze zgłodniałe Boga co rana już karmić się mogą Chlebem Żywota. Zdziałał tem Pius rzecz epokową, ściślej zespolił Chrystusa z sercami nowożytnych, wzniecił codzienną bez przerwy czujność na drodze ku doskonałości, odnowił po kilkunastu wiekach najpiękniejszy z obyczajów pierwszych chrześcijan męczenników, przymnożył świętości na ziemi i zajaśniał wdzięcznemu katolickiemu światu jako dobroczynny posłannik Boży.

Kto wie, czy to wielkie orzeczenie nie jest głównem zadaniem Jego pontyfikatu, jego powołaniem? Sam bowiem ciągle ze szczególną miłością opracowywa tę radosną naukę. Coraz obfitsze w tej świętej kwestji wydaje przywileje: 30. maja 1905. udziela odpustu za modły o rozszerzenie codziennej Komunij, 14. lutego 1906. ogłasza, że przy codziennej Komunji można pozyskać wszelkie odpusty zupełne bez odbywania spowiedzi co tydzień.

Uweseliły się więc serca wiernych, rozmiłowały w ucztach anielskich; zasypano Świętą Kongregację Synodu pytaniami, czy naprawdę wszyscy już teraz częściej zapraszani do Stołu Pańskiego — dzieci — chorzy? I wszystkie dzieci, które są po pierwszej Komunji Świętej, mogą się komunikować codziennie i chorym wolno często przynosić Najświętszy Sakrament, nawet jeżeli nie są na czczo. Taką pociechę sprawia odpowiedź z 7. grudnia 1906.

Oto postępowanie Piusa X. Z jakże pobożnego ducha ono wynika i jak pobożność wszędzie gruntuje! Owocność Komunji Świętych musiał sam czuć, aby ich tak gorąco innym życzyć; położył przed światem najmocniejszy i niechybny pobożności środek. Ten Papież nietylko się nazywa Piusem, On zaiste jest *Pius!*

A my, Polacy, ze szczególnie głębokiem przeświadczeniem tę papieską pobożność odczuwamy. Wszakże ze skarbca łaski nam osobnego daru udzielił i dał na zawsze pamiątkę. Ustanowił święto Matki Boskiej Częstochowskiej na dzień 28. sierpnia, a kościół Jej jasnogórski podniósł

do rzędu bazylik. Czego Ojczyzna nasza w epokach swojej świetności mieć nie mogła, teraz dostała na pocieszenie i posiłek w swych mękach. Matka Boska Częstochowska, święte palladium Polski, doznała w ten sposób czci wszechświatowej; Ojciec Swięty oddał wspaniały hołd Patronce nieszczęśliwego Narodu, wieczyście nam panującej Królowej Korony Polskiej.

***

Taki duch Jego; taki ten pierwiastek, który, w losach Kościoła doniosły, utrwali tam obraz

,, semipublica,'' upragniona przez każdego chrześcijanina.

Z pod olbrzymiej, ciosowej kolumnady placu św. Piotra wchodzimy w wielkie wrota, otwierające się na ogromny korytarz, w którego głębi podnoszą się wśród białych kolumn Schody Królewskie, oświetlone dalekim witrażem. U wrót żuawi szwajcarscy w bufiastych strojach w pasy czarne, czerwone i żółte, w szubach błękitnych, z dzidami w rękach. Na prawo drzwi, które wiodą na marmurowe żółtawe stopnie, idące zwolna w górę wkrąg wielkiej klatki schodowej, obłożonej



JABOATÃO (Brazylja) — Salezjańska kolonja rolnicza. *(Zob. str. 99).*

Jego na zawsze. Tymczasem, gdy szczęśliwie żyje wśród nas, wielu z uczuciem ogląda Jego twarz, wszyscy zaś marzą, aby być kiedy w Rzymie, być u Papieża. Skoro to dla większości nie łatwe i nie prędko ziścić się dające, przenieśmy się tam choć myślą, natężmy wyobraźnię, aby ujrzeć najdostojniejsze a drogie oblicze Namiestnika Chrystusowego. Dołóżmy uczuć na wspomnienie tego Ojca, tego Ojca Świętego, tego Papieża-Króla, tego więźnia watykańskiego — i tak wzruszeni pójdźmy Go odwiedzić. Niech będzie jedno z bardziej poufnych posłuchań, w mieszkaniu, w gronie niewielkiem, bez dekoracyjnej wystawności, audjencja tak zwana

marmurem i panegirycznemi tablicami. Wyprowadzają na dziedziniec leżący na płaszczyźnie watykańskiego wzgórza, otoczony pałacem o krużgankach z szybami, jak szklarnia. Pilnują wejścia żandarmi w czarnych pelerynach, w czarno czerwonych stosownych kapeluszach z białem piórem, w białych rękawiczkach. W jednych drzwiach dziedzińca widać barwistego żuawa trzymającego straż. Tam wchód do Ojca Świętego. Dochodzi się doń przez wspaniałe Schody Szlacheckie o ścianach błyszczących ciemnymi marmurami. Na każdej kondygnacji schodów różnokolorowy szwajcar z halabardą. Piętra niezmiernie wysokie; na drugiem Papież. Przechodzi się przez olbrzy-

nią, sklepioną salę, zdobną staremi freskami; wszędzie posterunki żuawów.

W kolosalnym przedpokoju stoją służący „bussolanti,” cali w ponsowych adamaszkach w tłoczone desenie, w buraczkowych pończochach i pantoflach. Na komnaty papieskie wprowadza wyfrakowany kamerdyner: mija się kilka pokoi dużych, widnych, renesansowej architektury, wysłanych zielonymi dywanami; w rogach straże. Zatrzymują przybywających w sali tronowej; honorowy szambelan ustawia ich w półkole. Chwile oczekiwań.

Komnata cicha, cała zakryta miękkimi kobiercami, ściany obite grubą materją; na dywanowych stopniach tron wyściełany, obciągnięty wypukłymi haftami. Ciężkie bordowe portyery i gęste kremowe firanki spuszczają się od wysokiego stropu przez okna na ziemię. Cisza i spokój. Na twarzach przebija się skupienie, tęskna radość, czasem łzy.

Słychać brzęknięcie szpady. Z sąsiedniej komnaty wychodzi paru strojnych dworzan i ukazuje się biały Papież. Uklęknąć wieńcem! Papież nie idzie na tron, ale wzdłuż szeregu klęczących staje przed każdym, podaje rękę do pocałowania, zamienia słowo, życzliwie słucha prośby. Posuwa się dalej pomału ku następnym, co jeszcze klęczą, czekając.

Postać słuszna, prosta, tęga; twarz dobrotliwa, rumiana, poważna, z przebłyskami młodości; rysy nieuderzające, pełne, zdrowe, zmarszczek niewiele; oczy wyraźne, przychylne; z pod białej piuski prawie białe włosy wychodzą bujnie, jakby w rozstrzępionych lokach. Ruchy naturalne, pełne sympatji, prostoty, sprężyste, jakby w sile wieku. Sutanna biała, sukienna, z małą pelerynką; na piersiach zwisa na złotym łańcuchu krzyż z wielkich szmaragdów, na palcu pierścień ze szmaragdem, przez pas szarfa biała jedwabna ze złotymi frendzlami, z herbem Piusa X. haftowanym w kolorach na morowych wstęgach szarfy; gdy stąpa, pokazuje się czerwone skórzane obuwie.

Z nim dworzanie przyboczni: prałat dyżurny w jednolicie fioletowej sukni; tajny szambelan w czarnym ubiorze frakowym, haftowanym złotem i obwiedzionym rubinowym absamitem pod haftami, ze szpadą z perłowej macicy, z kapeluszem stosownym ze strusiemi piórami w ręce; pułkownik gwardji szlacheckiej w obcisłym, białym, kapiącym od złota uniformie, w hełmie złocistym na głowie; szambelan honorowy w stroju zdobnym lazurowym aksamitem i złotymi haftami, z perłową szpadą u boku. Malownicza ta grupa, wyraz prastarych tradycji i monarszego stanowiska Papieża, otaczając Jego majestat, przesuwa się z Nim razem przed oczyma przybyłych.

Papież kończy obchodzić półkole; upłynęło z kwadrans błogiego posłuchania. Papież staje na środku sali i wymownie, czystym, płynnym głosem wlewa w serca pociechę. Rozdaje łaski, każe je roznosić do rodzin, w świat, poświęca wszystkie przyniesione przedmioty dewocyjne, poleca się modłom naszym i nakoniec w rzewnej modlitwie udziela padającym we wzruszeniu na kolana Swego Apostolskiego błogosławieństwa.

***

Gdy w bieżącym roku, w pięćdziesięcioletni jubileusz kapłaństwa Piusa X., modlimy się na Jego intencję, z osobliwem przejęciem się to czynimy. Bo na sam słuch o Nim serce nas ciągnie do Niego, a kto wszedł z Nim w styczność, naprawdę Go ukochał osobiście. Lecz nawet Chrystus nie był bez wrogów, a Rzym nietylko Papieża i katolicyzmu jest stolicą. Srożą się nieprzyjaciele pobożności; Wiatyk się nosi incognito, biskupi chowają piuski, tają się na mieście chrześcijanie. Nie kazał Papież odbywać pielgrzymek — choć każdą ojcowskiem sercem przyjmie. — Między Papieżem a pielgrzymem stawać może Żyd, rządzący Rzymem z Kapitolu. Więc dn. 15. grudnia 1907 ogłosił w Swym organie Ojciec Święty, by każdy raczej u siebie pomodlił się za Niego; dodał, by jubileuszowe ofiary na miejscowe pobożne cele oddawano. Aż dopiero na powszechne prośby cofnął swój zakaz 8. stycznia 1908. Jakaż ewangeliczność wyszła tu była na jaw z charakteru Piusa, jakież stąd nowe sprężyny, pobudzające do modłów za cierpiącego Ojca!

Ale największą dlań chwałą, uczczeniem w jubileusz, przypodobaniem się z miłością, unieśmiertelnieniem w kościelnej Świętych sławie, szczęściem niezłudnem będzie spełnianie Jego natchnionej woli, dziecięce serdeczne przyjęcie Jego duchownych darów i Boża chwała. Do tego pobudkę uczuwa się już przy zewnętrznem ujrzeniu Piusa X., a bardziej jeszcze przy spojrzeniu w duszę tego Propagatora codziennej Komunji, a najbardziej przy zestrojeniu tych obu wrażeń w jakąś żywotną, niezapomnianą sylwetkę Papieża, znakomitego w Swoim typie, opatrznościowego dla Kościoła.

Zdania i myśli ks. Bosko.

1. Niebo zapewnione jest bogatym w osobie ubogich za pośrednictwem jałmużny.

2. Przebaczę chętnie wszystkie obrazy, mówiąc: Boże, odpuść mi moje winy, jako i ja odpuszczam swoim winowajcom.

3. Pomyśl, jaka okazja cię do grzechu przywiodła i unikaj jej na przyszłość.

4. Jeżeli chcesz korzystnie uczyć się i pracować, pracuy więcej dla nieba.

5. Jakież to szczęście, nie myśleć o rzeczach ziemskich, ale o wieczności i dla wieczności cierpieć.

6. Czy nie czas już, duszo niewierna i niewdzięczna, byś wróciła do swego Boga? Gdzie byłabyś dzisiaj, gdyby Krew Jezusa Chrystusa nie przytrzymywała karzącej prawicy ojcowskiej?

7. Dobry chrześcijanin takim być powinien dla swoich przyjaciół i znajomych, jakim był Pan Jezus dla św. Jana i Łazarza. Powinien ich kochać w Bogu i z miłości ku P. Bogu darzyć ich swem zaufaniem. Jeśli im się zdarzy popaść w grzech, ma dokładać wszelkich starań, by odzyskali postradaną łaskę.

8. Przeszłość prysła; przyszłość nie jest w naszej mocy; tylko teraźniejszość jest chwilą po to nam daną, byśmy wielbili Boga i zasłużyli na szczęśliwość wieczną.

9. Chrześcijanin powinien być gotów znosić utrapienia wewnętrzne, jak P. Jezus, gdy był zdradzony przez jednego ucznia, zaparty przez drugiego, opuszczony od wszystkich.

10. Umrzemy wówczas, gdy o tem najmniej myśleć będziemy, a chwila śmierci stanowić będzie o naszej wieczności. Czy możemy się uważać za roztropnych, jeśli nie jesteśmy na nią przygotowani, i to zawsze przygotowani?

11. Wybierzcie sobie co miesiąc świętego albo świętą na patronów.

12. Dobry chrześcijanin powinien cierpliwie znosić każde prześladowanie, każdą chorobę, nawet śmierć, jak Jezus Chrystus, który z głową cierniem ukoronowaną, z ciałem biczami poszarpanem, z rękami i nogami poprzebijanemi gwoździmi, oddał w pokoju ducha swego w ręce Niebieskiego Ojca.

13. Jak manna była codziennym pokarmem żydów podczas ich pobytu na pustyni, tak Komunja św. powinna być naszem umocnieniem, codziennym pokarmem w niebezpieczeństwach tego świata i ma nas doprowadzić do prawdziwej Ziemi Obiecanej, do raju.

14. Chrześcijanin ma się modlić, jak Jezus Chrystus na górze Oliwnej *w skupieniu, z pokorą i ufnością.*

15. Wymawiasz się: „Jestem zbyt wielkim grzesznikiem, by przystępować do Komunji św.'' Jeżeli jesteś wielkim grzesznikiem, szukaj łaski i pomocy w Sakramencie Pokuty.

16. Idziemi przez ten świat zawieszeni między podwójną wiecznością; jedna i druga może być naszym losem na zawsze. Czuwajmy więc nieustannie.

17. Zwracam uwagę na to, że w dzisiejszych czasach, wobec częstych narzekań na brak środków potrzebnych do religijnego i obyczajnego wychowywania młodzieży najuboższej i opuszczonej, Najśw. Marja Panna sama stała się jej dobrodziejką, wypraszając wiele nadzwyczajnych łask duchownych i doczesnych dobrodziejom dziatwy ubogiej.

18. Odwagi! spróbujcie służyć P. Bogu a sami się przekonacie, jak ta służba jest słodka i miła i jaką radością napełni serca nasze tu i w wieczności.

19. Akty strzeliste są zalecane szczególniej tym, którzy z powodu wielu zajęć nie mogą odmawiać długich pacierzy lub przykładać się do innych praktyk pobożnych.

20. Weselcie się i powtarzajcie ze św. Filipem Nereuszem: „Ani skrupuły ani zmartwienia niech nie istnieją dla mego sumienia.''

21. Kto się chce zbawić, musi mieć wieczność w pamięci, Boga w sercu a świat pod nogami.

22. Podczas mszy zachowujcie się z taką skromnością i skupieniem, iżby was nic rozerwać nie mogło. Duch wasz, serce, zmysły niech niczem nie będą zajęte, tylko chwałą Bożą.

23. Pamiętajcie, chrześcijanie, że mamy tylko jedną duszę; jeśli ją stracimy, wszystko będzie dla nas stracone na wieki.

24. Mówisz: „Rzadko przystępuję do Komunji św., by przystępować z większą gorliwością.'' To złudzenie. Co rzadko czynimy, czynimy to niewprawnie i źle. Częste są potrzeby twej duszy, więc dlaczego jej odmawiasz częstej pomocy?

25. Dobry chrześcijanin powinien z rezygnacją cierpieć braki i ubóstwo, jak je cierpiał Pan Jezus, który nie miał nawet miejsca, gdzieby Swoją głowę skłonić.

26. Umiejcie znosić cierpienia, przeciwności i potwarze, jak P. Jezus je znosił od doktorów i faryzeuszów, zdając na Boga wymiar sprawiedliwości.

27. Rozbierając się przed spoczynkiem nocnym, wyobrażajcie sobie, że widzicie katów obnażających gwałtownie Pana Jezusa przed biczowaniem.

28. Przed jedzeniem i po jedzeniu przeżegnajcie się i odmówcie modlitwy używane przez dobrych chrześcijan: „Pobłogosław, Panie, nas i te dary, które teraz spożywać mamy, abyśmy się w Twej świętej służbie zachować mogli.'' — „Dziękujemy Ci, o Panie, za pokarm, któregoś nam udzielić raczył; użycz nam łaski, aby nam zawsze ku wiecznemu zbawieniu służył.''

29. Starajcie się być uprzejmi i łagodni z wszelkiego rodzaju osobami.

30. Posłuszeństwo nasze ma być na wzór posłuszeństwa naszego Boskiego Zbawiciela, który je praktykował w rzeczach nawet najtrudniejszych, aż do śmierci krzyżowej. Skoroby chwała Boża tego wymagała, powinien i każdy z nas być posłuszny aż do ofiary z życia.

WIADOMOŚCI POTOCZNE

RZYM. — J. E. Franciszek de Paula Rodriguez Alves, były prezydent Stanów Zjednoczonych Brazylji, w Schronisku Najśw. Serca Jezusowego na *Castro Pretorio* (5. lutego b. r.). — W tej wizycie towarzyszyły mu córki Maryjka i Celina oraz p. dr. Bruno Chaves, pełnomocny minister Brazylji przy Stolicy świętej, p. pułkownik Jan de Franca Mascarenhas, p. August de Assumpção *Junior*, panie Eulalja Masirenhas, Dorota Bordogarry, Emma i Teresa de Barros Moreira i kilka innych dostojnych osobistości.

U wejścia na obszerny dziedziniec Schroniska powitali zacnego gościa przełożeni zakładu a kapela a zagrała brazylijski hymn narodowy. Wychowankowie tworzyli szpaler. Na uprzejmą przemowę powitalną w języku portugalskim, z jaką się doń zwrócił jeden z kapłanów (Salezjanin), p. Rodriguez Alves odpowiedział w tych słowach:

« Niema żadnej przesady w słowach wyrażających miłość i uwielbienie byłego prezydenta Brazylji dla pobożnego Towarzystwa salezjańskiego. Ja, jako człowiek miłujący porządek, nie mogę nie podziwiać takiej instytucji, jak niniejsza, która ma za cel uprzedzić nieporządki społeczne przez przyzwyczajenie synów ludu do spełniania swego obowiązku. I właśnie ze względu na szacunek, jaki żywię dla Salezjanów, w mej podróży do Włoch wstąpiłem umyślnie do Turynu, aby zobaczyć ich dom macierzysty (*). Tam miałem szczęście zwiedzić pokoik, w którym skonał Założyciel Salezjanów, czcigodny X. Jan Bosko, mąż, który się może najwięcej zasłużył społeczeństwu w tych ostatnich czasach, i spotkać się z jego godnym następcą X. Rua, o którym zachowam niezatarte wspomnienie.

« Tu pośród was, podczas gdy moja myśl na skrzydłach ducha nieprzepartą siłą ulatnia się do mej Brazylji, gdzie już tyle zakładów salezjańskich pomyślnie się rozwija, czuję tem większą pociechę, że w mym charakterze naczelnika państwa nie szczędziłem im opieki, życzliwości i pomocy.

« Przyjmując zatem wasze uprzejme pozdrowienie i wasze życzenia, pragnę, aby zamiast do osoby byłego prezydenta, były one raczej skierowane do mojej ukochanej ojczyzny Brazylji, która jest przyjaciółką Salezjanów ».

Obchodząc następnie w towarzystwie przełożonych Schronisko, J. E. zatrzymywał się z wielką uprzejmością i zajęciem w obszernych pracowniach, wychwalając wychowanków i podziwiając ich organizację i karność. Po zwiedzeniu kościoła Najśw. Serca Jezusowego powrócił na dziedziniec, gdzie jako hołd Salezjanów oraz ich wychowańców doręczono mu wspaniałe « album », oprawne w skórkę i płótno o barwach brazylijskich, zawierające egzemplarz illustrowanego wydania « Dwudziestopięciolecia Schroniska Najśw. Serca Jezusowego ». — Nastąpiło serdeczne pożegnanie, przy którem p. Rodriguez Alves wyraził zarządowi Schroniska swe wysokie zadowolenie ze wszystkiego i odjechał, żegnany ponownie dźwiękami kapeli i gromkimi okrzykami wszystkich obecnych.

(*) Istotnie p. dr. Rodriguez Alves przybył *in incognito* do Oratorjum św. Franciszka Salezego dnia 1. stycznia b. r. (Przyp. wyd.).

LISBONA. — Wychowankowie Szkoły zawodowej św. Józefa nie chcieli być ostatnimi w okazaniu szczerego współczucia nieszczęsnym ofiarom bezecnej zbrodni, jakiej się dopuszczono na portugalskiej rodzinie królewskiej w dniu 1. lutego b. r. Jako regularnym śpiewakom kaplicy królewskiej *Das Necessidades*, dano im owszem pozwolenie złożenia swego smętnego hołdu w formie uroczystej. Dnia 7. lutego zatem, jako w pierwszy piątek miesiąca, w którym podług zwyczaju odprawiali miesięczną praktykę pobożną t. zw. *dobrej śmierci*, ze sztandarem przybranym w żałobę udali się gremialnie do kaplicy pałacowej. Ks. inspektor Koljolo odprawił tamże cichą Mszę świętą, której oni wysłuchali ze skupieniem i przystąpili wszyscy do Komunji św. Także wszystkie swe modły ofiarowali za dusze dostojnych ofiar skrytobójczego zamachu. I nie potrzeba się tu długo rozwodzić nad tem, z jaką pobożnością ci nasi wychowańcy się modlili, gdyż pominąwszy nawet i to, że mają wiele do zawdzięczenia owej rodzinie królewskiej, znajdowali się właśnie przed trumnami, w których spoczywały zwłoki zamordowanego króla i jego syna. Z trybuny asystowało przy tej smutnej ceremonji kilku szambelanów i dam dworskich, przejętych żalem i wzruszeniem.

Dałby Bóg, aby ten dziecięcy hołd — jak z jednej strony był wielką pociechą dla zranionych serc obu królowych, przejętych wielką życzliwością dla dzieł ks. Bosko, — tak by z drugiej strony przyniósł również niemałą ulgę nieszczęśliwemu królowi Karlosowi i królewiczowi Ludwikowi Filipowi.

RODEO DEL MEDIO (Argentyna). — *La Virgen de Don Bosco* (M. B. Ks. Bosko), nowe i miłe czasopismo, które ma wychodzić 24. każdego miesiąca

w celu rozszerzania nabożeństwa do Najśw. Panny Wspomożenia wiernych, oznajmia, iż podjęto na nowo prace około budowy kościoła Marji Wspomożycielki, pod który kamień węgielny położono jeszcze w roku 1899 w listopadzie, a więc mniej więcej przed dziewięciu laty. Myśl wzniesienia tej świątyni powzięła swego czasu pobożna i zacna pani Lucilla B. de Bombal i dla wprowadzenia w czyn tego przedsięwzięcia ofiarowała nawet znaczną kwotę pieniężną. Po trzech latach t. j. w końcu r. 1902, nawy kościoła doprowadzono do znacznej wysokości a arkady wewnętrzne i fasada przedstawiały widok wprost imponujący, tak iż można było po tem łatwo poznać, jak wspaniałym byłby całokształt po ukończeniu dzieła..... gdy oto naraz musiano przerwać pracę. W latach następnych nie brakło dobrej woli, aby ją dokończyć, lecz napróżno. Obecnie jednak, ku wielkiej pociesze licznych wiernych uczęszczających do kaplicy prowizorycznej, godzi się spodziewać, że podjęte niedawno prace nie doznają już żadnej przerwy, lecz że owszem skrzętnie będą prowadzone dalej aż do zupełnego wykończenia tego pięknego kościoła...

PORT STANLEY (Wyspy Malwińskie - Patagonja Południowa). — Z tej odległej miejscowości, zaginionej niejako wśród oceanu, gdzie dla braku kapłanów wielu odpadło od wiary swych ojców i gdzie od kilku lat do garstki Salezjanów, pracujących nad rozbudzeniem wiary wśród tubylców, przyłączyły się również Siostry Marji Wspomożycielki, piszą nam:

,, Ukończyliśmy niedawno rok szkolny z jakiem takiem zadowoleniem. Dni 9 i 10 grudnia były wyznaczone na egzamina chłopców, a następny dzień dla dziewcząt. Był na nich obecnym p. gubernator oraz kilku panów i pań, którzy okazali się ze wszystkiego najzupełniej zadowoleni, szczególniej z ręcznych robótek dziewcząt; siedm z nich uznano za godne nagrody za prace niewieście a cztery za rysunki. Jedenastego grudnia miało miejsce uroczyste rozdanie nagród. P. Bóg pobłogosławił naszym pracom tak, iż wydały owoce obfitsze, aniżeliśmy się tego spodziewali. Ludzie są zdziwieni postępem, jak poczynili ich synowie, a u tych, co zwiedzili małą wystawę prac dziewcząt, zauważyliśmy nawet trochę zapału. Wszyscy powtarzali: « Dlaczego Siostry nie przybyły z jakie dwadzieścia lat pierwej? — Tyle dziewcząt nie byłoby się zgubiło! » Jest to może i prawdą. Cała ludność tutejsza była katolicką, a jeśli obecnie jest w części protestancką, stało się to głównie dla zupełnego braku opieki duchowej.

« Szesnastego tegoż miesiąca urządziliśmy loterję fantową w celu zebrania funduszu potrzebnego na pokrycie długów zaciągniętych na budowę naszego zakładu. Widocznie sam Bóg kierował tą sprawą; nietylko bowiem wszystko odbyło się należycie, bez żadnego przykrego zajścia, lecz prócz tego zebraliśmy na czysto 150 funtów szterlingów. Ludność okazuje chęć dopomagania nam; my zatem przygotowujemy się do rozpoczęcia nowego roku szkolnego, chociaż odczuwamy bardzo brak personału. Niechaj Pan przyśle nowych pracowników także do tej winnicy zaniedbanej, która obiecuje stać się znowu żyzną i kwitnącą! »

JABOATÃO (Brazylja). — Budowa nowego kościoła pod wezwaniem Najśw. Panny Marji Wspomożycielki, jaki ma stanąć w *Jaboatão*, postępuje raźnie naprzód. Kamień węgielny podłożono pod eń dwudziestegodrugiego marca 1905 r. Wspomniany kościół wznosi się na ogromnym głazie, który stanowi niejako jego piedestał: istotnie głaz ów jest 36 metrów długi, 22 szeroki a gruby od 7 do 11 metrów. Kościół zaś, w stylu bizantyńskim, mierzy



JABOATÃO (Brazylja) - Grota poświęcona Matce Boskiej w Lourdes.

31 metrów długości a 15 szerokości. Fasada ma 20 metrów wysokości. Pod ogromną podstawą granitową, w stronie zachodniej, otwiera się rodzaj groty mogącej pomieścić dwieście osób, którą poświęcono Matce Boskiej z Lourdes. J. E. Najprzew. X. Alojzy Raymundo, biskup w Olinda, już kilkakrotnie pobłogosławił temu przedsięwzięciu i polecił je gorąco swoim dyecezjanom; jest bowiem przekonany, że « jako pierwszy kościół, który zostanie wzniesiony pod wezwaniem M. B. Wspomożenia wiernych w Brazylji północnej », przyniesie on obfite błogosławieństwa całej jego dyecezji. Nowy kościół stanie na gruncie salezjańskiej kolonji rolniczej w Jaboatão.

Łaskawi czytelnicy mogą w niniejszym zeszycie zobaczyć kilka pięknych illustracji tejże kolonji i budującego się kościoła.



MISJE SALEZJAŃSKIE

MATTO GROSSO
(BRAZYLJA).

Cztery miesiące pośród Bororosów.
(*List inspektora ks. Antoniego Malana*).

I.

Żmudne poszukiwanie. — 260 kilometrów poprzez lasy.

Z nad brzegów Rio Pogubo, 1-go sierpnia 1907 roku.

PRZEWIELEBNY KSIĘŻE RUA!

Jakem pisał w ostatnim liście z dnia 8-go maja, którym zawiadamiałem Najprzew. Ojca o bezzwłocznym moim odjeździe z Cujabà do naszych kolonji wśród tubylców tego stanu, dnia 17-go maja w towarzystwie ks. Augustyna Coliego, braciszka Gobeta, katechisty Karola Schinardiego i zacnego przyjaciela Epifanjusza d'Oliveira, b. wychowanka naszego kolegjum w Cujabà, wyjechałem do kolonji, ufając, jak zawsze, macierzyńskiej opiece Boskiej Opatrzności. Niniejszy list wysyłam do Ojca z zaludnionego środowiska olbrzymiego pokolenia Bororosów, nieubłaganie dręczony przez tysiące owadów, których te lasy są pełne, na biurku zaimprowizowanem z kilku waliz transportowych.

Po podróży do kolonji Niepokalanego Poczęcia Najśw. Serca Jezusowego i św. Józefa, wyruszyłem z tej ostatniej 1-go b. m. z ks. Balzolą, Schinardim, przewodnikami Deodato i Józefem Sabino i dowódcami Bororosów Joachimem i Majorem oraz Indjaninem Ambrożym do wsi odległej 260 kilometrów od wspomnianej kolonji, by zbadać zamiary Indjan, przerażonych śmiercią pana Melchjora Borges, który zamieszkiwał wieś Burity i zabity został przez Bororosa z nad brzegów rzeki św. Wawrzyńca; a także, by upatrzeć miejsce odpowiednie na czwarte nasze środowisko misyjne.

Trudne przejścia. — Nieustanne wypadki. — Przebycie rzeki św. Alfonsa.

Pierwszego dnia aż do wieczora przejeżdżaliśmy przez miejsca niezbyt trudne. Ale od dnia następnego podróżowaliśmy całkowicie pod przewodnictwem naszych Bororosów, bo oni jedni znali kierunek naszej drogi. Byli atoli zupełnie nieświadomi przejść bezpiecznych dla zwierząt jucznych, którymi wcale się nie posługują w długich i uciążliwych wycieczkach po tych poplątanych puszczach.

Jednakże ufając w opiekę Matki Boskiej, zagłębiliśmy się w przerażający las, spustoszony tu i ówdzie przez niedawne pożary. Odwagi i naprzód! Potrząsamy toporeczkami *gaucos* i z odwagą w tych razach nieodzowną, silnie uderzając w gałęzie i drzewa, stojące nam na zawadzie, torujemy sobie drogę i dostajemy się do czarującego palmowego lasku.

Dowódcy Joachim i Major nas poprzedzali, torując drogę wśród ciemnej puszczy, podczas gdy Indjanin Ambroży prowadził konia za uzdę. Raptem ten zagłębia się w bagno; Indjanin zatrzymuje się zdziwiony i osłupiały. Z wielkim trudem wydobyliśmy konia na powierzchnię. Dzięki Bogu biedne zwierzę uszło kalectwa i zguby, oszczędzając nam przez to 700 franków wydatku.

Zbadaliśmy porządnie płaszczyznę, by się przekonać, czy niema pewniejszej drogi, ale napróżno; tej zaś nie mogliśmy przebyć bez wielkich trudności. Idąc dalej po ścieżce torowanej nam przez dzielnych kacyków, znaleźliśmy się niebawem nad brzegiem głębokiej rzeki. Tu czekały nas nowe wypadki: ładunek jednego konia spada do rzeki, a walizy nasze, zawierające przedmioty, które miały nam ułatwić wygodniejszy nocleg, zostały wodą przemoczone. To nic! Gdyby się to było przytrafiło z walizami, w których się znajdowały artykuły spożywcze, historja biednego muła naładowanego gąbkami z bajki La Fontaine'a, byłaby się tu doczekała drugiego wydania.

Nie biorąc w rachubę podobnych małych niepowodzeń, należy przyznać, że dotychczas podróż nie mogła być lepsza. Ale coś innego nas czekało.

Po przebyciu około sześciu kilometrów trafiliśmy na nową rzeczkę dość wezbraną, tak że w niektórych miejscach tworzyła prawdziwe bagniska, nie licząc wielu niebezpiecznych stawisk. Nowa okazja do okazania waleczności: zatem

bierzemy się do siekier, łopat, sierpów, by sobie inne, mniej niebezpieczne przejście utworzyć. Składamy ciężary z bydląt i pędzimy je do wody. Po nieopisanych trudach udało się nam nakłonić pierwsze do tego, iż zeszło ze stromego brzegu, przeszło bród i stanęło na brzegu przeciwległym; drugie było jeszcze gorsze. Ostatnim był muł zwany *Pachola*, wyborny do noszenia ciężarów, bo bardzo silny, ale że w wysokim stopniu posiadał znane przymioty właściwe wszystkim stworzeniom swojego gatunku (które smagane nie dają ani kroku prędzej, niż same zechcą, podczas gdy brykać nie przestają ani na chwilę), wiele nam dawał do roboty z sobą od dnia, kiedy porzuciliśmy Cuyabà, a szczególniej przy tej okazji. Przetrzymał nas nie mniej jak półtorej godziny przy przejściu owego strumienia! Ostatnim środkiem był jego chleb powszedni, t. j. kukurydza, przez którą pociągnięte uparte zwierzę dało się przeprowadzić na drugi brzeg. Dzięki Bogu, na tem się wszystko skończyło. Historyczną tę rzeczkę ochrzciliśmy nazwą św. Alfonsa, bośmy ją odkryli i przeszli w dniu jego święta.

Nowe bagna. — Iść dalej niepodobna! — Poszukiwanie lepszej drogi. — Przewodnicy giną.

Było zaledwie pół do jedenastej, ale karawana była tak znużona, jakby cały dzień w podróży przebyła. A jednak trzeba było iść naprzód, nie tracić zbyt dużo czasu na wypoczynkach, bo według tutejszego przysłowia *Barco parado não ganha frete* (łódź, która się nie rusza, nie ujedzie ani węzła).

Następnie trafiliśmy na grunt bardziej błotnisty od poprzedniego. Nauczeni doświadczeniem, zdejmujemy ze zwierząt ładunki, niosąc je na własnych plecach po zaimprowizowanym moście z coiras (kawałków skóry), liści, gałęzi i t. d. Na drugim brzegu urządziliśmy sobie krótki wypoczynek, bo przy takim turnieju i wśród takich przejść potrzeba posiłku silnie uczuć się dawała.

Rozpuściwszy więc trochę *rapadury* (1) w świeżej krystalicznej wodzie, urządziliśmy sobie tradycjonalną *jaculę*, która nam dodała nowych sił do przyszłych przygód w podróży.

W samej rzeczy po przebyciu 200 metrów trafiamy na nowe bagno, którego przejście nie mniej trudów miało nas kosztować, niż poprzednie. Postanowiliśmy zatem tu noc przepędzić, która wkrótce gęstą ciemnością okryła las. Nie mogliśmy jednak oka zmrużyć z powodu niezliczonego mnóstwa *carrapatos*, które co chwila uderzały w nasze hamaki. Następnego dnia przed wschodem słońca przeszliśmy to miejsce błotniste po moście przygotowanym poprzedniego wieczora i ruszyliśmy w dalszą drogę.

(1) *Rapadura:* cukier ciemnej barwy w formie cegiełek.

Sądziliśmy, że już wszystkie wypadki mamy za sobą, gdy oto kilkanaście kroków dalej stajemy wobec bardzo gęstego lasu. Nie widząc innej rady, z nożami i siekierami w ręku wciskamy się do niego. Po godzinie drogi stajemy wobec ogromnych przepaści, dolin, pagórków, olbrzymich głazów i kamieni.

Zapytujemy swoich przewodników, czy koniecznie musimy przechodzić przez te wzgórza i kręte drogi; odpowiadają, że tak. Zwracamy im uwagę na niemożliwość przeprowadzenia zwierząt przez te niebezpieczne i karkołomne drogi; a oni z całą naiwnością zbijają nasz zarzut tem, że jak jadąc do Cuyabà wstępujemy i zstępujemy z gór ze zwierzętami, tak też i tu możemy to samo robić. Nie myśleli oni o tem, że aby te miejsca uczynić przystępnemi dla jazdy, należało podjąć się olbrzymich kilkuletnich robót.

Co czynić? Przepaści owe nie do przebycia leżały ku południowi; myśmy więc zwrócili się na północny-wschód i dalej!

Nasi Bororosowie, jako przewodnicy, szli naprzód, torując drogę, a my za nimi, udoskonalając ją. Przy każdem uderzeniu siekierą lub sierpem po gałęziach, spadał na nas obfity deszcz *carrapatos*. Są to wojska małych owadów, stanowiących prawdziwą plagę tych puszcz w czasie posuchy, a było ich tyle, że liczba ich da się porównać z niezliczonemi kroplami wody w czasie ulewnego deszczu. Ale to porównanie zbyt pochlebne. Ten deszcz nowego rodzaju zamiast robić przyjemność, drażnił nam skórę niemiłą pieszczotą, której skutki przez długie godziny pozostawały.

Miejsce, które przebywaliśmy, był to gęsty bardzo las, pozbawiony wszelkiego światła właśnie z powodu tych małych owadów: a w dodatku powietrze było dymem przesycone, bo przewodnicy rozkładali przed nami ogniska, byśmy się łatwiej orjentować mogli. Naraz dowódcy *Major* i *Joachim* spostrzegają olbrzymią antę (1). Polowanie na to zwierzę lubią pasjami. Idąc więc za pociągiem przyrodzonym i nikomu słówka nie mówiąc, porzucają w jednej chwili drogę i giną za zwierzęciem. A my? Długie godziny musieliśmy bezczynnie czekać, nie wiedząc co robić, bo prócz tego, iż nie wiedzieliśmy, w jakim kierunku iść, baliśmy się również brać do obcinania gałęzi i zrąbywania drzew. W końcu ujrzeliśmy dowódcę Joachima,

(1) *Anta* albo *tapir*, zwany słoniem amerykańskim *(tapirus americanus)*, jest to słoń, ale z formy przypomina raczej dzika; jest atoli wyższy od niego i zamiast ryja, ma początek trąby, którą skraca i wydłuża podług upodobania.

ale w smutku i milczeniu, iż mu się nie udało strzałami dostać zwierzęcia, na które się łakomił. Pocieszywszy go, wyruszyliśmy dalej i po upływie godziny ujrzeliśmy na wzgórzu drugiego dowódcę. Ale ten się pysznił, bo na swoich barkach niósł dwie ćwiartki olbrzymiego *tamanduà*, który, choć stary i twardy, był dla nas pokarmem wyśmienitym na wieczór i na dzień następny. W podobnych okolicznościach, o, jakże nam żal było drugiej połowy zostawionej z musu pośród lasu, z powodu wielkiego ciężaru.



JABOATÃO (Brazylja) — Głaz, na którym wznosi się nowy kościół Matki Boskiej Wspomożycielki. *(Krzyż oznacza miejsce, w którem położono kamień węgielny).*

Przerażająca noc. — Upór przewodników. — Ambroży ambasadorem. — Zniknięcie dowódcy Joachima. — Naprzód z różańcem w jednej ręce, z nożem w drugiej. — Czarująca panorama.

Na tę noc rozpięliśmy namioty niedaleko szczytu, któryśmy nazwali: „Znalezieniem św. Szczepana." Wśród nocy głębokiej zbudził nas przerażający hałas, trzask drzew, które się stały zdobyczą ognia, a płomienie zbliżały się ku nam to od południa ku północy, to od północy ku południowi, według kierunku wiatru. Po długich trudach, spoceni gromadzeniem zwierząt, rozproszonych okropnym trzaskiem ognia rozdmuchiwanego przez wiatr, zostaliśmy zaskoczeni nowym wypadkiem. Bydlę jedno, świeżo nabyte, na którem jechał przewodnik Deodato, zerwało się nagle niewiadomo czemu i złamawszy drzewo, do którego było przywiązane, zaczęło uciekać. Dokąd poleciało, nie wiemy; ale proszę zauważyć, co za dziwny zbieg okoliczności: zupełnie podobny fakt zdarzył się przed sześciu laty w tym samym miesiącu, w tym samym dniu, o tej samej godzinie z mułem należącym do p. Piotra Fernandes, w miejscu zwanem *Pindalydal* o 5 wiorst od Cuyabà, gdy wspólnie ze mną czynił poszukiwania miejsca pod kolonię Serca Jezusowego. Muła tego po 8 miesiącach znaleźli z siodłem przekręconem! Byłbym rad, gdyby tak było i z naszym; inaczej biedna nasza misja poniosłaby stratę nie mniej jak 700 franków.

Po nocy w takiej trwodze spędzonej, nastąpił smutny poranek, zapowiedź gorszego jeszcze dnia.

Bororosowie, przyzwyczajeni iść wprost do celu, nie zważając na trudności terenu, wciąż musieli robić zygzaki, by ułatwić przeprowadzenie mułów. Za każdą razą, gdy tego była potrzeba, nic o tem wiedzieć nie chcieli, bo zasadom ich logiki sprzeciwiało się odwracać się od kierunku podróży. Tymczasem ileżto

straty czasu na to jeżdżenie naprzód i w tył! Nieraz wiele godzin upłynęło, zanim mogliśmy do pożądanego kierunku wrócić. A w tych razach przewodnicy nasi nas opuszczali i zamiast iść naprzód, z tyłu zostawali. Wołaliśmy na nich: „Dowódco Joachimie, dowódco Majorze, mata trabaja ippo! trabaia anara! (chodźcie gałęzie przecinać, chodźcie drogi torować).”

A oni półgłosem mruczeli: „Maren baiquimo! (To nie tam należy iść).”

W tym dniu, w którym zdawało się, że wszystko się sprzysięgło, by nam przeszkadzać w podróży, postanowiliśmy się rozstać z naszym Ambrożym, by go wysłać z oznajmieniem naszego przybycia do Indjan w poblizkiej wiosce Pobore. Dowódcy, uderzeni odejściem swego towarzysza, chcieli koniecznie iść za nim, a nas własnemu losowi zostawić, tylko, jak mówił Joachim, na krótko, obiecując jednak wyjść na nasze spotkanie z Indjanami, którzy stanowili cel naszej podróży. Niełatwo przyszło przekonać ich, by nas nie porzucali, bo inaczej w tym olbrzymim lesie zginiemy. Zdawało się, że dali da wygraną. Wkrótce znaleźliśmy się przed wysoką płaszczyzną, ciągnącą się z północy na południe, właśnie w kierunku osad tubylców. Naturalnie w tym kierunku ruszyliśmy, pomimo że ks. Balzola żądał, byśmy w przeciwnym kierunku poszli, by wejść na wierzchołek, który powinien nam był zaoszczędzić niektórych niedogodnych przejść.

Dowódca Joachim, już niekontent, że nie mógł pójść z Ambrożym, uważał za niedorzeczność znowu się cofać od celu ciężkiej podróży i stąd wszczął spór z ks. Balzolą, który aby przeciwnika nie drażnić, odstąpił od swego projektu. Ale dowódca, rozłoszczony okazanym przez ks. Balzolę brakiem zaufania przez proponowanie zdania przeciwnego, słówka do nikogo nie rzekłszy, puścił nas w trąbę — i nie ujrzeliśmy go więcej. Dokąd się udał? — Zobaczymy to później. Dość, że zostaliśmy sami ze starym Majorem, którego nieomal w rachubę brać nie warto było, bo z powodu wieku szedł powolutku a kierunku nieznał.

Ukochany Ojciec łatwo zrozumie, jakiem było nasze położenie w owej chwili: pod zwrotnikowem słońcem sierpniowem, który to czas w lasach jest najgorętszym, wystawieni na wszelkie możliwe awantury, z mułami padającymi ze znużenia i do tego nie wiedzący, w którą stronę iść! A jednak iść należało.

Z różańcem w lewej ręce, z siekierą do torowania drogi w prawej, przez dwie godziny wędrowaliśmy, aż znaleźliśmy się na wysokim murze, przez przyrodę wyciosanym w skale w kształcie amfiteatru, okalającym powierzchnię od 12 do 15 hektarów. Przypomniało nam się rzymskie Colosseum. Majestatyczne drzewa, któremi plac był okolony, dodawały mu nadzwyczajnej piękności. Co za prześliczna panorama oczom naszym stamtąd się przedstawiała! Prócz niezrównanego krajobrazu, rozciągał się przed nami jeszcze inny czarujący i wspaniały widok. Były to niezliczone faliste wzgórza, urozmaicone szczytami, ścianami, grzebieniami naturalnymi, które się w przeróżny sposób ku niebu wznosiły, w powietrzu przesyconem dymem od pożarów odwiecznych lasów. Można było do tego obrazu zastosować niejedną stronicę słynnego Alfonsa Celso, opisującego dziwy brazylijskich gąszczów.

Przez kwadrans wypoczywaliśmy w tem miejscu, by przypatrzeć się wspomnianemu widokowi, temu dziełu prawicy Boga, który w ten sposób łagodził nasz smutek. Naprawdę tak jest! Gdy człowiek skłopotany wzniesie oczy i spojrzy na to, co go otacza, na widok tylu dowodów dobroci Bożej, wnet poczuje się wyższym nad wszystkie nędze ludzkie.

Znowu w podróży. — Pan Bóg i na krzywych linjach prosto pisze! — Dowódca Joachim się zjawia. — Druga noc przerażająca.

Z resztką melancholji w duszy, po krótkim wypoczynku podjęliśmy na nowo podróż, czyniąc przypuszczenia jak najgorsze. Ale na wspomnienie brazylijskiego przysłowia: „Deus escreve direito nas linhas tortas,” a więcej jeszcze pamiętając, że podróżujemy pod czułem okiem dobrej Matki wszystkich śmiertelników, czego mieliśmy się obawiać? — To też Opatrzność Boska i względem nas wnet czułą Matką się okazała! Znaleźliśmy się wobec kilku pagórków, które przerzynały wyżynę, na której znajdowaliśmy się, a z której teraz zstępować nam przychodziło. Pagórki rzucały czarny cień na te ciemne głębokie doliny, które nas czekały. Której strony się trzymać przy zstępowaniu? — Po namyśle poleciliśmy się Aniołowi Stróżowi i skierowaliśmy się na prawo.

Skorośmy zeszli na dół, zoczyliśmy ku wielkiemu naszemu zdziwieniu wspaniały łuk, tworzący jakby most naturalny, którego budowę stary Major przypisywał Papai Grande, czyli Bogu, jakby chciał przez to powiedzieć, że ponieważ przyroda jest córką Bogą, zatem i piękność jej od Niego pochodzi. Pod mostem płynął rozkoszny strumień, którego wodą ugasiliśmy nasze pragnienie.

W półtorej godziny potem zjawił się i Joachim, który, jakby nic nie było zaszło, rzekł nam, że tylko dlatego nas porzucił, by zbadać miejscowość i wynaleźć przejście odpowiednie dla zwierząt: w rzeczy samej wnet wziął się do siekiery i zaczął nam drogę torować. Biedny

człowiek! Ze strachu różnieśmy go posądzali, a on z narażeniem się na złamanie sobie karku szukał wygodniejszej drogi dla nas, unikając dysputy z ks. Balzolą i raz jeszcze dowodząc, iż jest człowiekiem, który umie słowa dotrzymać.

Przybyliśmy pomyślnie do pięknej, wesołej doliny, wśród której znajdowało się jezioro a nad niem unosiły się mirjady owadów. Tam urządziliśmy sobie nocleg.

Z początku dokuczały nam tylko małe komary *lambe-olhos*, *borrachudos* i niezliczone *carrapatos*.

Ale około 10-tej zerwał się wiatr, który podnosił płomienie na 5 do 10 metrów i kierował je na nas, tak że przez 3 do 4 godzin byliśmy rzeczywiście bardzo zagrożeni i wszystkiego mogliśmy się spodziewać. Ufając Bogu, rozmyślaliśmy poważnie o tych płomieniach, porównywując je z płomieniami czyścowymi i piekielnymi.

Przy zupełnej ciemności widziało się te straszne wybuchy, zmieszane z czerwonawym dymem, jak nikły na widnokręgu, pędzone strasznym wichrem, który głuche odgłosy grzmotu czynił jeszcze straszniejszymi. Spędziliśmy noc przy blasku tych płomieni, i naprawdę w okropnym strachu; ale dzięki Bogu, obeszło się bez nieszczęścia. Porobiliśmy rozmaite zdjęcia fotograficzne, które będziemy mogli wykończyć nie prędzej, jak po powrocie do Cuyabà, i które kochanemu Ojcu wyślę, jeśli się udały.

Dzień szczęśliwy! — Na brzegach Rio Pogubo. — Ambroży wraca. — Noc. — Odejście Indjan do osad Bororosów.

Tą razą jadący z nami byli bardzo zadowoleni, bo trzymaliśmy się kierunku, jaki im się podobał. Najświętsza Panna zlitowała się nad nimi i nad nami, dając nam dzionek prawdziwie pomyślny. Trafiliśmy na pięć rzek, łatwych do przebycia, dzięki naturalnym mostom, z których każdy był prawdziwem arcydziełem przyrody.

Z jaką przyjemnością torowali nam drogę przewodnicy! Następnie w dobrych względnie warunkach doszliśmy do *Rio Pogubo*, znanego pod nazwą rzeki św. Wawrzyńca, która kręto płynie pomiędzy dwoma skalistymi brzegami, wysokimi mniej więcej 40 do 50 metrów.

Było zaledwie pół do trzeciej po południu, ale z powodu zmęczenia mułów postanowiliśmy tu się zatrzymać, by mieć czas na rozwiązanie nowego zadania: przebycia Rio Pogubo, co w języku miejscowym znaczy: rzeka dużo wody mająca.

Podczas gdy zastanawialiśmy się nad tą trudną sprawą, zjawia się naraz przed nami zacny Ambroży, o którym sądziliśmy, że znajduje się w osadach Indjan; od niego dowiadujemy się, że reszta drogi jest z mułami nie do przebycia, bo te już i tak są wycieńczone, i że nawet na piechotę bardzo trudno będzie dalej się posuwać, zwłaszcza wobec braku zapasów żywności. Już mieliśmy się zdecydować wsiąść na konia franciszkańskiego, gdyśmy zaczęli jeden drugiego pytać: „A ze zwierzętami co począć? A rzeczy, któreśmy mieli dla Indjan, kto poniesie?"

Po kilku chwilach zastanowienia osądziliśmy za roztropne posłać trzech Bororosów do upragnionych wsi, by oznajmili Indjanom, że tu na nich czekamy. Z radością przyjęli to zaszczytne posłannictwo. Atoli przed odejściem chcieli widzieć przedmioty przeznaczone dla ich współbraci, by dokładniej módz je opisać i prosili o niektóre, jako na próbkę, to znaczy: chusteczki, igły, nożyczki, zwierciadła i t. d. Na drogę daliśmy Bororosom trzy kilogramy mąki i jedną rapadurę.

W nocy ugotowali oni sobie ogromnego *tatù* 1), zabitego przez dowódcę Joachima i nazajutrz o wschodzie słońca całego skonsumowali, zostawiając tylko kawał skorupy z grzbietu, i to porządnie oblizanej! Po tem wspaniałem śniadaniu stanęli przed nami z wesołym uśmiechem na swych bronzowych obliczach, by się pożegnać i wyruszyć dla spełnienia poruczonego sobie obowiązku, mając nadzieję stanąć przed nocą w pierwszej wsi Indjan.

Morros da Transfiguração — W oczekiwaniu dzikich — Spotkanie — Do drugiego sprawozdania.

Było to 6-go b. m., uroczystość Przemienienia P. N. Jezusa Chrystusa na górze Tabor. Odprawiając mszę świętą, błagałem, by Bóg raczył ponownie się przemienić, nie jak na owej górze Tabor, gdzie Mu były zaofiarowane tylko trzy namioty: lecz w tych dzikich ciemnych stronach, opanowanych przez szatana, pokrytych licznymi *ranchos* lub *pelhocas* (nędznemi chatynkami), gdzie żyją opisani synowie lasów. Oby zabłysły w nich wesoło i stale mistyczne blaski chrześcijańskiego ich przemienienia! Te blaski, to chluba najświętszej religji, na której święte łono te dusze mają być przyjęte za pośrednictwem odradzających wód Chrztu św. Tak to te ciemne puszcze, gdzie tyle stworzeń ludzkich przebywa dotychczas w zabobonie, bałwochwalstwie, wrogiem usposobieniu dla społeczeństwa, będą mogły się przemienić w środowiska gorliwych chrześcijan i pożytecznych obywateli.

Czarującej tej miejscowości, otoczonej wysokiemi wzgórzami, daliśmy nazwę „Pagórka Przemienienia."

---

(1) *Tatù (Dasipus peba)*, zwierzę właściwe lasom brazylijskim; ma na głowie, grzbiecie i ogonie kościstą zbroję z łusek silnie z sobą spojonych.

Obecnie czekamy tu na wynik prac naszych nadzwyczajnych posłów. Tylko że zamiast brać udział w błogosławionem widzeniu na górze Tabor, musimy znosić nieznośną duszność i walczyć z, miryadami wspomnianych niejednokrotnie owadów. W tych warunkach spędziliśmy dzień 6, 7 i 8 b. m. Zwierzęta nasze wypoczywają po wyczerpujących trudach i skubią ochoczo trawę, by mieć siły do powrotu; my tymczasem jesteśmy prześladowani nieustannem, wcale niemiłem ssaniem tych pijawek, które nam tną niemiłosiernie skórę.

I mimo bardzo lekkich posiłków, zaczynamy coraz dokładniej widzieć dno czterech pakunków z naszemi prowizjami; to też przed użyciem reszty mąki uważaliśmy za roztropne pójść się postarać o inne pokarmy, mianowicie te, któremi w drodze posilali się nasi przewodnicy, jako to: *palmitos* (owoce z palm), *guarirobos*, *cocos* (owoce z kakao) i t. d. Ile razy skosztowaliśmy głodu w czasie tych niebezpiecznych podróży przez lasy! Gdyby nie było obietnic wiary, która dodaje wartości i przekazuje wieczności ofiary misjonarskie, na niczby się zdały najweselsze nadzieje życia.

Przy pierwszej sposobności prześlę drogiemu Ojcu wieści o przybyciu dzikich w stroju adamowym i opiszę nasze spotkanie się z nimi w miejscach nie budzących wielkiego zaufania.

Tymczasem racz, czcigodny Ojcze, polecić nas zacnym Pomocnikom i Pomocnicom; pobłogosław także naszą misję a w szczególności

oddanego Ci w J. Chr. syna

Ks. ANTONIEGO MALANA.

II.

Spotkanie z Bororosami. — 2600 Indjan chce cywilizacji.

Kujaba, 8. stycznia 1908 r.

NAJCZCIGODNIEJSZY KSIĘŻE RUA!

Dotrzymując obietnicy danej w liście ostatnim, przesyłam wiadomości o spotkaniu z dzikimi, które nastąpiło blizko źródeł rzeki św. Wawrzyńca.

Jak przyszło do spotkania — Przedstawienie gości. Rozmowa.

Dzień 9-ty sierpnia, rocznicę koronacji Papieża Piusa X, obrała sobie Opatrzność Boska na spotkanie nasze z Bororosami. Na wierzchołku stromej skały na lewym brzegu rzeki Pogubo, która toczy swe obfite wody do rzeki św. Wawrzyńca, ujrzeliśmy gromadkę barczystych Indjan. Prawda, że przywykliśmy do spotykania się z synami lasów, jednakże tą razą doznałem nieopisanego wrażenia, spostrzegłszy w oddaleniu o pół kilometra olbrzymie, surowe postacie o bronzowej skórze przemalowanej sztucznie na ciemny szkarłat, nagie, uzbrojone w łuki i strzały. Czułem, że to chwila niezwykła.

Idąc za naszymi nadzwyczajnymi posłami, dostatecznie przez nich poinformowani o celu naszego przyjazdu, o naszych warunkach i zamiarach, spuszczali się z wyżyny, idąc gęsiego. Gdy się zbliżyli do nas dla dopełnienia dziwacznej, prymitywnej ceremonji powitania, zauważyłem w ich gronie kilka niewiast, które wobec nas dawały niedwuznaczne dowody zażenowania i wstydu naturalnego, który w ich wspólnem pożyciu jest bardzo przytępiony.

Dowódca Joachim przedstawił nas kacykom licznej ambasady, którzy z swej strony przedwawiali nam kolejno swych strasznych tostarzyszy i współbraci plemiennych. Następnie złożyli broń i z szybkością nadzwyczajną rzucili się do obcinania liści palm, które znosili i zrzucali koło naszych chatek, by obok nich pobudować swoje szałasy, przyczem każda rodzina budowaniem swego była zajęta.

Powiadomieni przez naszych przewodników, że bardzo kuso było z naszymi zapasami żywności, znosili nam owoce kokosowe i ryby, które choć pieczone w sposób prymitywny, mimo to z powodu głodu, jaki cierpieliśmy, wydawały nam się najwykwintniejszym kąskiem na świecie. W zamian daliśmy każdemu po garści mąki z mandioki i po kawałku cukru.

Nastała noc. Księżyc zlewał swe spokojne, srebrzyste promienie na malownicze lasy, ciągnące się wokoło, a mi rozmyślaliśmy o nieskończonej dobroci Boga, który nam pozwolił rzucić pierwsze blaski ewangjeliczne na te nieszczęśliwe, dzikie plemiona. Wtem zjawia się przed nami niespodziewanie Joachim z wszystkimi gośćmi i rozpoczyna długą przemowę o skutkach swej legacji. Rozwodził się nad tem, że Indjanie opuścili swe siedziby w obawie przed napadem wojska i innych białych; że im brakło wody rzecznej a mieli tylko źródlaną, bo im *bairowie* (znachorzy) powiedzieli, że wody w rzekach zostały przez białych zatrute; że za to przygotowywali swoje łuki i strzały, aby z białymi rozpocząć wielką wojnę; że lubią misjonarzy, bo im są życzliwi i że dla swego bezpieczeństwa i własnych korzyści pragną, byśmy się wśród nich osiedlili i założyli kolonję.

Gdy kacyk skończył, zawezwano mnie, bym odpowiedział. Wyręczyłem się księdzem Balzolą, który lepiej włada ich językiem. Mówił długo, bo tego żądają Bororosowie od mowców. Zapewnił ich, że Bororosów cenimy wysoko i kochamy; przypomniał, co się to już dla nich zrobiło; oświadczył, że będą dla nas zawsze przedmiotem spokojnego działania, mającego na celu ich odrodzenie, i podał powody, dla

których zasługują na naszą opiekę. Wyłożył im początki obecnych niepokojów i wzajemnej nieufności białych do Indjan; zapewnił, że wody rzek nie są zatrute i w dowód pił przy nich wodę z rzeki św. Wawrzyńca; że rząd nie ma mściwych zamiarów, a chciał ukarać tylko tego, który zamordował p. Melchiorra, aby dać wszystkim naukę społecznej moralności; obiecał im, że mówić będziemy w tej sprawie z gubernatorem prowincji i przypomnimy mu obietnice niegdyś Bororosom poczynione.

Za każdem zdaniem, które się z ich uznaniem spotykało, postacie bronzowe dawały niezwykłe oznaki radości, nadymając policzki i wypuszczając głośno powietrze, oraz potakując silnymi: „*hum! hum! hum!*" albo okrzykami: „hu! hu! hu!" Była godzina dziesiąta, a oni nalegali, aby mowca nie ustawał. Trzeba ich było zadowolić. Zmienił atoli przedmiot i wyłożył znaczenie wielkiego aktu, na którym jutro mieli być obecni, to jest Mszy św. Podczas gdy mowca zasłuchanemu audytorjum wyłuszczał ofiarę Króla wszystkich ludzi i Bororosów, nasi dwaj kacykowie dawali dzikusom objaśnienia, o które ich proszono w miejscach najtrudniejszych. Tak minęła znowu godzina; głos księdza Balzoli słabł, zamierał. Wtedy i ja zabrałem się do mówienia, opisując w formie djalogu z ks. Balzolą ostatnią podróż po Europie w towarzystwie ich współplemieńca Miguela, któremu wszyscy Bororosowie zazdroszczą szczęścia.

Ofiara św. — Wspólne śniadanie. — Podarunki. — 10 osad, 52 kacyków, 2600 Indjan chce cywilizacji.

Około północy uważaliśmy za odpowiednie odejść do siebie i opuszczając Bororosów w szałasach, rzuciliśmy się w objęcia Morfeusza. Skoro zaczęło dnieć, przygotowaliśmy swój maleńki ołtarzyk u stóp krzyża ustawionego na wzniesieniu. Msze święte ofiarowaliśmy na podziękowanie za szczęśliwe spotkanie z dziczą, która z uwagą i podziwem przypatrywała się obrzędom. Po nabożeństwie, w towarzystwie wszystkich Indjan raczyliśmy się doskonałem *jacuba* i korzystając ze sposobności, że wszyscy byli zebrani, rozdaliśmy im przedmioty dla nich przywiezione. Każdy otrzymał nożyk, nożyczki, wędkę, lusterko; kacykowie zaś po pół kołdry i chustkę; niewiasty po trzy łokcie materji na okrycie swego ciała. Uśmiech szczęścia i radości pojawił się na ustach biednych istot. Może nigdy nie czuli się tak bogatymi. Zasługują oni pod każdym względem na uwagę i wsparcie cywilizowanych. Niech światło religji i cywilizacji jak najrychlej do nich dotrze! Na łonie Matki Kościoła zjawi się wśród społeczeństw ucywilizowanych szereg pokrewnych plemion natchnionych gorliwością i żywotnością, którego źródłem jest odrodzenie przez krzyż i Chrystusa.

Pomiędzy gośćmi był na szczęście główny kacyk. Od niego jest zależnych 52 pomniejszych kacyków, czyli naczelników grup liczących do 50 głów. Ów naczelny kacyk jest więc dowódcą mniej więcej 2600 Indjan, zamieszkujących na ogromnej przestrzeni dziewiczego lasu następujące osady:

Pouchereu z 4 kacykami (nad rzeką św. Jana).
Noiddori (z 3 kacykami).
Jardori (z 5 kacykami).
Cogleal Wari (z 10 kacykami).
Tadarimanna Pari (z 5 kacykami).
Pobori (z 3 kacykami i 1 znachorem).
Jorigli-Pari (kilku Indjan).
Hejari (z 10 kacykami i 2 znachorami).
Kolonja Marji Krystyny (nasza dawna misja).
Ajgieri (najodleglejszy punkt z 10 kacykami).

Wszystkie te osady znajdują się w dorzeczu św. Wawrzyńca.

O czwartą kolonję. — Potrzeba 12 misjonarzy.

Udzieliwszy głównym władzom centralnym i stanowym telegraficznej wiadomości o pomyślnym rezultacie wyprawy, otrzymałem od wszystkich wyrazy sympatji, zachęty, życzliwości.

— Oto krótkie sprawozdanie z ostatniej naszej wycieczki do ludzi najokrutniejszych i słynących z instynktów krwiożerczych i mściwych. Ujęci perswazjami swych braci przebywających w naszych kolonjach już kwitnących, uznali nas za swych prawdziwych i szczerych przyjaciół, co jest podstawą naszych przyszłych prac ewangielicznych i cywilizacyjnych.

Wyborne te warunki, dobre usposobienie dzikich, wspaniałość przyrody miejsc, od których nic idealniejszego wyobrazić sobie nie można, a wreszcie nalegania współbraci były powodem, że obiecałem w najkrótszym czasie założyć czwartą kolonję dla Indjan przy źródliskach św. Wawrzyńca. Dowóz środków będzie wprawdzie daleko trudniejszy niż do innych osad, ale to wszystko z pomocą Bożą i dobrodziejów musi się pokonać.

Jedna tylko rzecz zupełnie i wyłącznie od Ciebie, najdroższy Ojcze, zależy. Chodzi nam o tuzin nowych misjonarzy, gotowych do poświęceń i pełnych zapału dla pracy ewangjelicznej. To też zwracam się do najdroższego Ojca z prośbą, abyś z miłości ku tylu tysiącom biednych dzikich zaradził tej potrzebie. Ja będę myślał o reszcie trudnego przedsięwzięcia.

Proszę o święte błogosławieństwo i o polecenie mnie modlitwom i dobroczynności naszych Pomocników i Pomocnic.

Oddany w Chrystusie syn

Ks. ANTONI MALAN.



NABOŻEŃSTWO

do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

Nad całe niebo dostojna
Świeci Marja, łaską strojna.
Bije z Niej cudów jaśnienie,
Jako ze słońca promienie.
Na ziemską znojną pustynię
Deszcz niebiański z rąk Jej płynie,
Schnące, upalone dusze
Zrasza w ich cierpień posusze.
Przed kimże zapłaczem, komuż
Ból powierzym? — Ty nas wspomóż,
Jak wspomagałaś swe wierne
Przez tysiąclecia niezmierne.
Wszak i my, Matko i Pani,
Sercem, duszą Ci oddani:
Tyś, jak w niebieskim Syonie,
I na naszych myśli tronie.
Chwała Ci! Chwała Ci! Chwała!!!
Ty, coś nam się Matką stała!
Chwała w płomienistem pieniu
Marji, Wiernych Wspomożeniu!

Dr. K. LUBECKI.

Niema tak ciężkiej i głębokiej niedoli ludzkiej, z którejby Najświętsza Panna Marja nie mogła wyratować!

W kwietniu 1907 roku zachorowałam na ciężkie lewostronne zapalenie płuc i opłucnej. Przebieg choroby był nader ostry i tak szybkie czynił postępy, iż już dnia trzeciego czułam, że choroba ta może być dla mnie śmiertelną. Mając wielkie zaufanie do Matki Najświętszej, pierwszą moją myślą było posłać do Turynu ofiarę na cele salezjańskie, z prośbą by dziatwa na intencję mego wyzdrowienia odprawiła nowennę. Myśli mojej nie mogłam natychmiast urzeczywistnić dla wzmagającej się choroby, a otoczenie moje zaliczało mię raczej do umarłych, niż żywych. Atoli mimo zwątpienia innych, serce i dusza moja ani na chwilę nie przestała silnie wierzyć w pomoc i opiekę bożą. Zażądałam kapłana, aby się wyspowiadać i przyjąć Baranka Bożego do swej duszy jako najwyższego i najlepszego lekarza, oraz Oleje św. z tą silną wiarą, że one przyniosą zdrowie memu bardzo choremu ciału; lecz w kilka kwadransy po przyjęciu Komunji św. przestałam już nawet wszelkie lekarstwa (nie mówiąc o pożywieniu jakiemkolwiek) przyjmować. Trwało to od poniedziałku do czwartku. Lekarz podtrzymywał tętno serca wstrzykiwaniami kamforowemi i po ludzku rzecz biorąc, nie było nadziei utrzymania mnie przy życiu.

Bóg jednak w dobroci i miłosierdziu swojem sprawił, że dzisiaj silnie i nieprzeparcie wierzę, iż ta Boska Eucharystja utrzymała mnie przy życiu, bo w ciągu tych trzech dni mimo boleści i cierpień ciała, dusza i myśl moja ani na chwilę nie zwątpiły, że ten Baranek Boży, który raczył wstąpić do mego serca, nie opuści mię i użyczy mi życia i zdrowia. A ta nadzieja sprawiała u mnie oczekiwanie czegoś takiego, co po ludzku wytłumaczyć się nie da, i tak się też stało: w czwartek rano lekarz orzekł, że ma nadzieję mnie uratować.

Ocalenie moje i wyjście z choroby uważam za dzieło Najświętszej Panny Marji Wspomożenia Wiernych, gdyż już *niejednokrotnie* w życiu mojem doznałam za Jej przyczyną łask od Boga, a i teraz ta Najświętsza Panienka wyjednała mi tę łaskę u swego najmilszego Boskiego Syna.

Z wdzięczności posyłam skromną ofiarę na cele salezjańskie, prosząc dziatwę o modtitwy, aby Najświętsza Panna Marja Wspomożenie Wiernych nie wypuszczała mię i nadal ze swej opieki, lecz owszem abym mogła Jej za nowe łaski podziękować.

Żydaczów w Galicji.

ZOFJA ŚWITKOWSKA.

*
* *

Siostra Brygida, z zakonu Sióstr Serafitek w Oświęcimiu, chodząc w styczniu r. 1907 po kweście w czasie nadzwyczaj silnych mrozów, przeziębiła się mocno i leżała przez czas dłuższy ciężką chorobą złożona w Przegini Narodowej koło Czernichowa. Gdy stan choroby był w stadjum najgroźniejszem, uczynioną została Najśw. Pannie Wspomożenia Wiernych obietnica publicznego podziękowania w *Wiadomościach Salezjańskich* w razie odzyskania przez chorą zdrowia i sił potrzebnych do ukończenia rozpoczętej kwesty.

Ponieważ Matka Najświętsza łaskę tę u Syna Swego wówczas w zupełności uprosić raczyła, przeto uiszczając się obecnie z obietnicy, skła-

damy najgorętsze i z głębi serca płynące dzięki tej Najlitościwszej Matce za jej widoczną pomoc i ratunek w owym wypadku, przez co pragniemy również zachęcić wszystkich, którzy to czytać będą, do tem większej ufności w miłosierdzie Tej, o której od wieków nie słyszano, aby ktokolwiek pomocy Jej nadaremnie wzywał.

Czernichów, d. 8. lutego 1908 r.

BRONISŁAWA SWIĄTKOWSKA
kierowniczka szkoły w Przegini.
ZOFJA BIRKENMAJEROWA.
SIOSTRA MARJA BRYGIDA, SERAFITKA.

Cudowne wyzdrowienie.

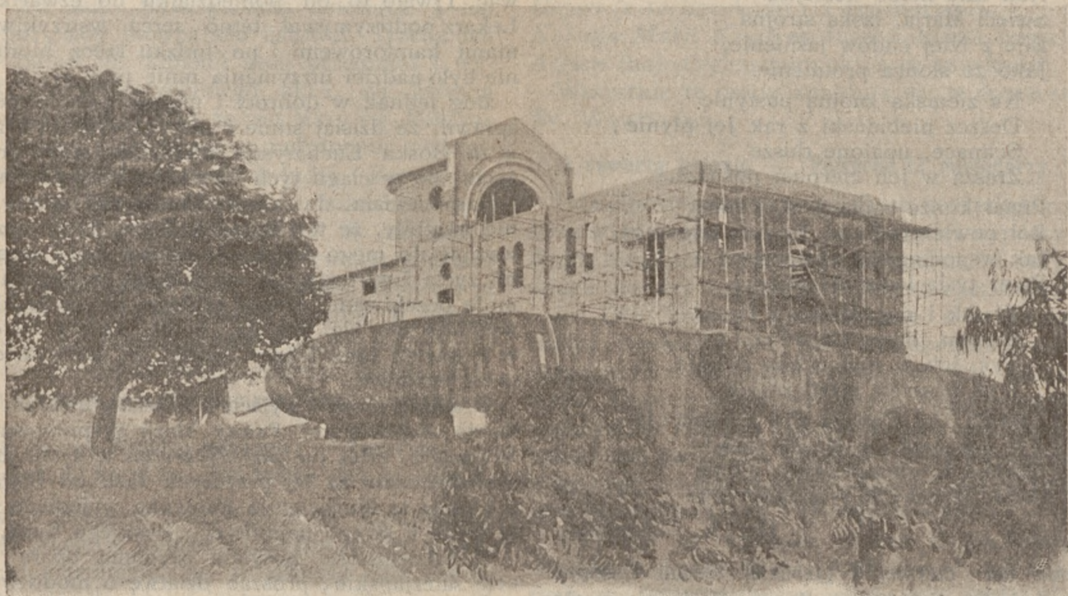
Córeczka nasza Stanisława, półtora roku licząca, zachorowała w grudniu z. r. powtórnie na zapalenie płuc. Miejscowy doktor i felczer przychodzili codzień do niej, a ona leżała z małemi oznakami życia blizko trzy tygodnie. W tym czasie dostałem z poczty pismo *Wiadomości Salezjańskie*, w którem między innemi znalazłem dział p. t. « Łaski Najśw. Marji Panny Wsp. Wiernych», gdzie właśnie są opisane takowe i kto mianowicie ich dostąpił. Więc i my postanowiliśmy zwrócić się do Najświętszej Marji Panny Wsp. Wiernych i posłaliśmy w tym celu skromną ofiarę na odprawienie Mszy świętej i nowenny w kościele tejże Matki Najśw. w Turynie. I oto w kilka dni potem wielka radość nas ogarnęła: nasza córeczka bowiem, o której zdrowiu lekarz z felczerem już byli zwątpili, zaczęła naraz mieć się lepiej a w święta Bożego Narodzenia jużeśmy się mogli z nią wspólnie zabawić.

Wiadomość o rozpoczęciu nowenny i odprawieniu Mszy świętej doszła nas, kiedy córeczka już była zdrowa. Po sprawdzeniu daty okazało się, że chorej zaczęło się polepszać właśnie w kilka dni po rozpoczęciu nowenny.

Przejęci wdzięcznością za tak wielką łaskę, składamy Najświętszej Marji Pannie Wspomożycielce nasze serdeczne podziękowanie i załączamy dwa ruble na Mszę św. przed Jej cudownym obrazem. Z odpowiedzią dostaliśmy obrazek M. B. Wspomożenia wiernych, który kazawszy oprawić w rameczki, zawiesiliśmy na ścianie i modlimy się przed nim codziennie do Matki Najśw., dziękując Jej za doznaną przez nas łaskę.

Mazowieck (Królestwo Polskie), 28. 2. 1908.

J. N. DWORAKOWSCY
Małżonkowie.



JABOATÃO (Brazylja) — Obecny stan robót kościoła Matki Boskiej Wspomożycielki.

* * *

Mąż mój znalazł się minionego lata w bardzo przykrem położeniu. Posądzony niewinnie o podpalenie swoich budynków, dostał się do więzienia śledczego, a jako nauczyciela zawieszono go również w urzędowaniu. Widząc, że ludzie go potępiają, udałam się do Boskiego Serca Jezusowego i do Matki Najśw. Wspomożycielki, prosząc, by mi raczyli przyjść z pomocą. Posłałam także na Mszę św. i nowennę do WW. XX. Salezjanów w Oświęcimiu, przyobiecując ogłosić otrzymaną łaskę w *Wiadomościach Salezjańskich*. — Modły nasze zostały wysłuchane. Męża uwolnili, uznając go niewinnym; zwrócono mu również wstrzymaną część pensji.

Wywięzując się z danego przyrzeczenia, składam najpokorniejsze dzięki Boskiemu Sercu Pana Jezusa i Matce Najświętszej Wspomożenia

wiernych, tej Oswobodzicielce uciśnionych, bo taki obrót sprawy przypisać można jedynie pośrednictwu tej Pani najmiłościwszej, której potężnej opiece oddaję się i nadal wraz z całą rodziną.

Michałków (Galicja), 5. 3. 1908.

STANISŁAWA HAJMANOWICZOWA.

Pocieszycielko utrapionych, módl się za nami!

Przed czterema miesiącami zachorowałam ciężko na krwotok. Będąc już prawie umierającą, modliłam się w duchu do Najśw. Marji Panny Wspomożenia wiernych, błagając Ją o ratunek. Jednocześnie kazałam posłać ofiarę na mszę świętą i przyrzekłam ogłosić łaskę — w razie jej doznania — w „Wiadomościach Salezjańskich." Otóż po odprawieniu Mszy świętej krwotok niebawem ustał i już więcej się nie powtórzył.

Z powodu osłabienia nie mogłam dotychczas uczynić zadość memu przyrzeczeniu; czynię to zatem obecnie mając i to na myśli, aby zachęcić innych, głównie zaś cierpiących, do uciekania się w swych dolegliwościach do tej wszechwładnej i litościwej Lekarki. Cześć Ci, o Marjo Wspomożycielko!

Mosty Wielkie (Galicja).

PAULINA KUCZKOWSKA.

Głos wdzięczności.

W roku ubiegłym podobało się Panu Bogu dotknąć mnie wielkim smutkiem i strapieniem. W chwili owego bolesnego ciosu udałam się z całą ufnością i wiarą do M. B. Wspomożenia wiernych i do Najświętszego Serca Jezusowego o radę i pociechę. Poprosiłam o Mszę św. i nowennę do Matki Boskiej Wspomożycielki i przyrzekłam, że jeśli mnie ta Matka najdobrotliwsza pocieszy, ogłoszę to i podziękuję w „Wiadomościach Salezjańskich," dam na Mszę świętą dziękczynną i złożę ofiarę na cele salezjańskie a mianowicie na ubogą dziatwę salezjańską. Zaraz też w pierwszych dniach nowenny Matka Najświętsza i Słodkie Serce Jezusowe raczyli mnie pocieszyć i wysłuchać.

Z głębi zatem duszy dziękuję za doznaną łaskę i błagam o dalszą pomoc dla mnie i dla wszystkich drogich memu sercu.

Krążno (Prusy Zachodnie).

L. GŁÓWCZEWSKA.

Dziękują Najświętszej Marji Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezjańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Jan Dobrowolski z Żerkowa (*W. Ks. Poznańskie*); Maryla Zawadzka z Dżurowa (*Galicja*); M. Bożyńska z Boguszyna (*W. Ks. Poznańskie*); Andrzej i Aleksandra Brodzińscy z Ząbkowic (*Królestwo Polskie*); Marja Karpińska z Poznania; Marta Krukowska z Lidzbarku (*Prusy Zachodnie*); Marja Jaworska, nauczycielka z Krasnego (*Galicja*); Antoni Borzemski ze Sarnek Górnych (*Galicja*); Kl. Leonard Prochownik z Rzeszowa (*Galicja*); Anna Trojanowska z Uszewa (*Galicja*); Józefa Pawlica z Dworów (*Galicja*); Marja Protschke z *Krakowa;* H. Biały z Linówca (*Prusy Zachodnie*); Marja Bilińska z Jaworowa (*Galicja*); Zofja Czech z Chropaczowa (*Górny Śląsk*), za szczęśliwy przebieg rozwiązania; Józef i Helena Lewandowscy z Lidzbarku (*Prusy Zachodnie*), za wyzdrowienie synka z ciężkiej choroby; Kl. Jankowska nauczycielka z Barcic (*Galicja*), za wybawienie z przykrego położenia; N. N. za podźwignięcie się z ciężkiej choroby; Barbara Mleczkowa z Ocieki (*Galicja*), za uzdrowienie z niebezpiecznej choroby pięcioletniego synka; Marja Tylawska nauczycielka z Mościsk (*Galicja*), za uregulowanie stosunków materjalnych i za wszystkie inne łaski; Stanisław Zawiliński z Brzezin (*Galicja*), za wyzdrowienie drogich osób w rodzinie; Adam Zięba z Płazówki (*Galicja*), za pomoc i wybawienie z wielkich kłopotów; Anna G. z Krakowa, za spełnienie trudnej do wykonania sprawy; Bronisław i Marja Majerowie z Mościsk (*Galicja*), za dobry przebieg ważnej sprawy; J. i N. Wanatowiczowie z Domaradza (*Galicja*), za cierpliwe zniesienie różnych przykrości i za otrzymanie posady; A. J. z Wadowic (*Galicja*), za doznanie trzech wielkich łask, które zdawały się niewykonalnemi i które można nazwać cudem; Anna Kwakówna z Mościsk (*Galicja*), za wybawienie z przykrego położenia; Aniela Pawlikiewiczowa z Tejsarowa (*Galicja*), za wyzdrowienie swoje i córki z ciężkiej choroby; Jadwiga Tuzowa z Kańczugi (*Galicja*), za wyzdrowienie; Adolf i Konstancja Czerni z Ostroga (*Górny Śląsk*), za przywrócenie zdrowia i za wszelkie inne łaski; Franciszek i Józefa Piwońscy z Clettwitz (*Hesja*), za uzdrowienie dziecka; L. D. z Bełzu (*Galicja*), za wyzdrowienie córeczki, której ubezwładnienie nóg groziło kalectwem i której lekarze nie mogli wyleczyć; Katarzyna Szporna z Agua Branca (*Brazylja*), za wyzdrowienie swoje i córki, która przez dwanaście lat cierpiała na ciężką wewnętrzną chorobę; E. P. z Liszek (*Prusy Zachodnie*), za szczęśliwy przebieg choroby; A. K. z Wolicy Ługowej (*Galicja*), za wyzdrowienie z bólu oczu; Józef Szarmach ze Starej Kiszewy (*Prusy Zachodnie*), za pomoc w pewnej ważnej sprawie; N. Hejduk ze Skałowa (*W. Ks. Poznańskie*), za pomoc w wielu potrzebach tak duszy, jak i ciała; Andrzej Stróżyński z Przysuchy (*Królestwo Polskie*), za otrzymanie posady; Katarzyna Antoler ze Sromowiec niżnych (*Galicja*), za wyleczenie córki z nader przykrej i niebezpiecznej choroby; Malwina Rudzińska z *Galicji*, za cudowne wyzdrowienie z choroby epileptycznej; Marja Domagalska z Wieliczki (*Galicja*), za szczęśliwe zakończenie pewnej ważnej sprawy; St. Frost z Obry (*Prusy Zachodnie*), za wyzdrowienie swej najmłodszej siostry; Antoni Owczar ze Skomoroch Starych (*Galicja*), za szczęśliwe przebycie operacji i wyzdrowienie z ciężkiej słabości; Marja Przeworska z Mrzygłodu (*Galicja*), za pocieszenie w wielkiem strapieniu; Michał i Marjanna Duda z Opola (*Górny Śląsk*), za przywrócenie zdrowia; Jan i Amalja Święchowie z Jadachów (*Galicja*), za wysłuchanie próśb; Anna Suchomska z Kcyni (*W. Ks. Poznańskie*), za uzdrowienie matki; Jan Szczeponek z Rośmierki (*Górny Śląsk*), za dobre powodzenie i liczne łaski; Feliks Stec z Przybówki (*Galicja*), za wyzdrowienie; Hugon Cziba z Radzionkowa (*Górny Śląsk*), za pomyślny wynik procesu; N. N. z Poznania, za polepszenie bytu i powodzenie w praktyce brata; Walerja Kosecka z Lipianek (*Prusy Zachodnie*), za pomyślny obrót pewnej ważnej sprawy.

ROZMAITOŚCI

II.

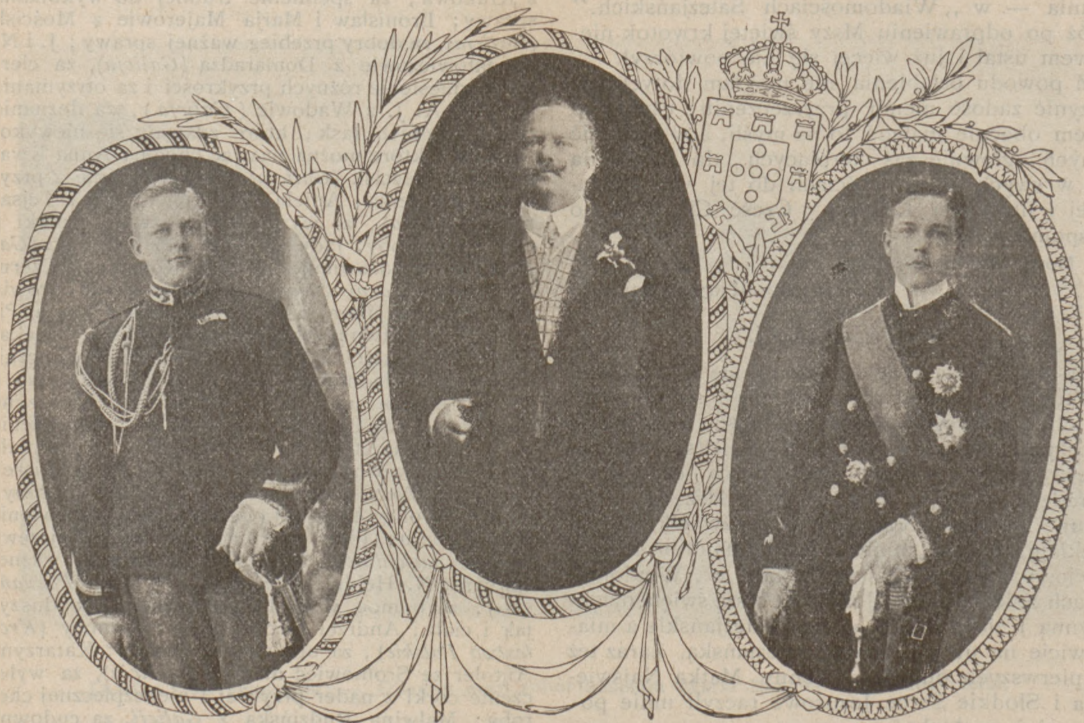
Nasze obowiązki względem Papieża.

Bywały w dziejach ludzkości chwile powszechnego zamętu, kiedy wszystko zdawało się zapowiadać powszechną ruinę; w takich ciężkich przejściach Papieże podnosili swój głos i jak wprawni sternicy wśród burzy kierowali nawą Kościoła i chronili ją od rozbicia. Głębsi myśliciele umieją wskazać w historji takie chwile, w których Papiestwo wywarło rozstrzygający a zbawienny wpływ na dzieje ludzkości.

Teraz znowu nastały podobnie krytyczne czasy. Gdziekolwiek się zwrócimy, wszędzie zamieszanie, niepokój, rozluźnienie wszystkich węzłów rodzinnych i społecznych. Z trwogą patrzymy w przyszłość i przewidujemy straszne wstrząśnienia i katastrofy. Ludzie płytkiego umysłu podają rozmaite rady, rzucają hasła często sprzeczne, szukają ratunku w oświacie, przemyśle i t. p. Wszystko to jednak jakoś nie pomaga, a próby nieudałe pogarszają tylko stan chorej ludzkości. Najmędrsi na świecie głośno mówią, że po ludzku mówiąc, już niema wyjścia, niema ratunku.

I oto staje też raz po raz teraźniejszy Ojciec św. i przemawia jako od Boga natchniony, nieomylny lekarz, ukazuje jasno i wyraźnie źródło chorób wieku, ich objawy i skutki, a zarazem podaje lekarstwa. Trafnie i krótko określa Pius X chorobę dzisiejszego świata jako powszechne odstępstwo od Pana Boga. Ludzie zapomnieli o Bogu i jego przykazaniach, zerwali związek z niebem, pozbyli się bojaźni Bożej, a za tem poszły wszystkie nieszczęścia dzisiejszego świata i rozstrój umysłów i rozbicie rodzin i społeczeństw i spoganienie polityki i zwichnięcie ekonomicznych stosunków; słowem cała nędza moralna i materjalna we wszystkich przerażających objawach, które jak groźne upiory ukazują się wszędzie przed oczyma naszemi. Kto chce leczyć chorobę tak ciężką i różnorodną, winien przedewszystkiem usunąć jej źródło, musi najpierw pojednać ziemię z niebem, człowieka z Bogiem, musi napowrót wprowadzić Boga i jego prawa w dzieje ludzkości.

Jakoż zaraz w pierwszym liście, wydanym do całego świata, rzucił Pius X hasło: *instaurare omnia in Christo*, to znaczy, że trzeba wszystko odnowić w Chrystusie, czyli świat spoganiały odrodzić według myśli Chrystusowej. Hasło to było jakby zapowiedzią jego pasterskich rządów. Po tej zapowiedzi poszły dalej szczegółowe wska-



Królewicz Ludwik Filip i król Karlos
ofiary zamachu dokonanego dnia 1. lutego b. r.

Don Manuel II
nowy król Portugalski.

zówki wewnętrznego odrodzenia Kościoła, skierowane w pierwszym rzędzie do duchownych, by ich w Chrystusie odnowić, a przez nich cały świat pojednać z Chrystusem za pośrednictwem katechizmu, któryby ludziem przypomniał zapomnianego Boga i Jego przykazania.

W tem dziele odrodzenia napotyka Ojciec św. na liczne przeszkody, t. j. błędy, jakie w ostatnich czasach rozpowszechniły się nawet wśród katolików, a które w dalszych swych następstwach prowadzą do podkopania wszelkiej religji. Błędy te zwane ,,modnemi'' zebrał i potępił w encyklice wydanej w zeszłym roku do biskupów całego świata, w której przeciwstawił odrodzenie Kościoła według myśli Chrystusowej, wszystkim niepowołanym reformatorom nowożytnym.

Trzeba wiedzieć, że w ostatnich czasach zaczął się pojawiać nawet między katolikami jakiś dziwny prąd niezadowolenia, który wszystko krytykuje i wszystko chce przeinaczyć w Kościele: i jego naukę i ustrój i samo nawet życie chrześcijańskie. Wszystko dzisiaj na świecie, mówią ci reformatorzy, zmienia się, rozwija i postępuje naprzód; tylko Kościół katolicki pozostał niezmieniony w swoich dogmatach i w swojej formie rządu. Stąd powstaje niezgoda między postępowym człowiekiem nowoczesnym a zachowawczym Kościołem. Takie twarde i nieugięte obstawanie przy tem, co było, mówią dalej, zraża ludzi współczesnych, i jeżeli Kościół nie chce utracić reszty swych zwolenników, musi się przekształcić w duchu wszechstronnego postępu dzisiejszego i pogodzić swoje żądania z wymaganiami dzisiejszego świata. Radzą tedy ci reformatorowie Kościołowi katolickiemu, aby uczynił ofiarę z niektórych dogmatów i urządzeń, i w ten sposób ułatwił ludziom wykształconym pozostanie w Kościele, a odstępcom powrót. W tym celu wymyślili cały subtelny system niby naukowy, modernizmem zwany, przy pomocy którego, zrywając z całą tradycją Kościoła, starym ustalonym pojęciom i dogmatom nowe podsuwają znaczenie. Chcieliby na tej drodze usunąć z wiary wszystko, co niedowiarkom się nie podoba, a więc i objawienie, natchnienie Pisma św., tajemnice, cuda; słowem wszystko, co jest nadprzyrodzone.

Słusznie te błędy i dążności potępił Ojciec św. Pius X, bo w ten sposób z religji naszej, od Boga objawionej, nie pozostałoby nic, tylko dowolne i zmienne opinje. A przecież religja nasza nie jest ludzkim wymysłem, lecz od Boga pochodzi; co zaś Bóg objawił, to musi być prawdą niezmienną po wszystkie wieki, gdyż P. Bóg się nie zmienia, ani myli, ani w błąd wprowadza. Kościół zatem co do nauki swojej ustąpić nie może, choćby nawet miał nadzieję, że kosztem jednego tylko dogmatu zjedna sobie wszystkich niechętnych a nawet wrogów. Gdyby to ustępstwo uczynił, zaparłby się nauki Boskiego Mistrza swojego, sprzeniewierzyłby się Boskiemu posłannictwu swemu, przestałby być Kościołem Chrystusa. Przecież P. Bóg nie może cofnąć się przed pychą człowieka; a tego właśnie żąda pycha uczonych dzisiejszych od powagi Boskiej, którą reprezentuje Kościół. Rozum niektórych ludzi oszołomiony postępem nauk, różnymi wynalazkami i odkryciami ostatnich czasów, nie chce nikogo uznać nad sobą, ani nawet Boga; nie chce nauki przyjmować od nikogo, ani nawet od Boga.

Tę pychę piętnuje Papież jako główne źródło dzisiejszych błędów przeciwko wierze; piętnuje także gorączkową chęć nowości, cechującą nasze czasy i wysilającą się na coraz nowe poglądy i twierdzenia w rzeczach wiary, bez względu na dawne orzeczenia Kościoła i nieprzerwaną jego tradycję.

Wobec tych błędów, które Ojciec św. potępia, obowiązkiem naszym jest *nie odstępować Papieża i wytrwać niezłomnie w dawnej wierze.*

(Z listu pasterskiego Najprzew. księży Biskupów Galicyjskich).

NEKROLOG.

Adamus Karol, — Huta Wilhelminy, *Górny Śląsk.*
Adryan Michał, — Powidz, *W. Ks. Poznańskie.*
Arndt Józef, — Górne Kończyce, *Górny Śląsk.*
Banaś Jan, — Wadowice, *Galicja.*
Bąkowski X. Al., — Zwoleń, *Królestwo Polskie.*
Biedziński Leon, — Zawada, *Galicja.*
Binek Józefa, — Niem. Piekary, *Górny Śląsk.*
Blach Rozalja, — Opole, *Górny Śląsk.*
Brommer Marja, — Zawadzki, *Górny Śląsk.*
Brylowska Franciszka, — Strych Prokowszy, *Prusy Zachodnie.*
Byszkowska Barbara, — Glusin, *Prusy Zachodnie.*
Cichowski Piotr, — Sumin, *Prusy Zachodnie.*
Ciemięga Piotr, — Maszkienice, *Galicja.*
Cybińska Marjanna, — Krotoszyn, *W. Ks. Poznańskie.*
Czarnota X. Jakób, — Gwoźnica Górna, *Galicja.*
Czernik Katarzyna, — Gilowice *Górny Śląsk.*
Czosnyczka Katarzyna, — Lisia Góra, *Galicja.*
Deballa Karol, — Huta Antoniego, *Górny Śląsk.*
Długosz [illegible]rja, — Mały Kotorz, *Górny Śląsk.*
Domina Klara, — Kępno, *W. Ks. Poznańskie.*
Domżalski Konstanty, — Boleszyn, *Prusy Zachodnie.*
Dreschler Weronika, — Różana, *Prusy Zachodnie.*
Dyaczyński Jan, — Żywiec, *Galicja.*
Dyrda Anna, — Wieprzec, *Galicja.*
Feduń Jan, — Snowidów, *Galicja.*

Filip Anna, — Opole, *Górny Śląsk.*
Florkowska Marja, — Wilno, *Litwa.*
Gacek Wiktorja, — Skomielna Biała, *Galicja.*
Garstkiewicz Ignacy, — Kórnik, *W. Ks. Poznańskie.*
Gawlikowicz Jan, — Cisowiec, *Górny Śląsk.*
Głowaczewski Leon, — Krążno, *Prusy Zachodnie.*
Gołaski Kazimierz, — Dębogóra, *W. Ks. Poznańskie.*
Gołąb Jan, — Żywiec, *Galicja.*
Gomoluch Wilhelm, — Kolonia Wandy, *Górny Śląsk.*
Gorczyca Paweł, — Stare Gliwice, *Górny Śląsk.*
Grobosz Franciszek, — Huta Huberta, *Górny Śląsk.*
Grodzicka Józefina, — Chełmża, *Prusy Zachodnie.*
Grzegorzewski Jakób, — Janków przygodzki, *W. Ks. Poznańskie.*
Habdas Marjanna, — Rychwałd, *Galicja.*
Hebel Juljanna, — Lusiny, *Prusy Zachodnie.*
Heflik Józef, — Szarlej, *Górny Śląsk.*
Henne Wojciech, — Lubecko, *Górny Śląsk.*
Jeliński Jakób, — Nowydwór, *W. Ks. Poznańskie.*
Jezierza Stanisław, — Cannes, *Francja.*
Jośko Piotr, — Wielka Dąbrówka, *Górny Śląsk.*
Josz Marjanna, — Imielnica, *Górny Śląsk.*
Kaparnik Antoni, — Winniki, *Galicja.*
Kawczyńska Paulina, — Kcynia, *W. Ks. Poznańskie.*
Kempa Jadwiga, — Siedlików, *W. Ks. Poznańskie.*
Kiełbasa Szczepan, — Jastrzębia, *Galicja.*
Kik Marjanna, — Gromadzice, *Galicja.*
Kłaka Wawrzyniec, — Niekarmia, *Górny Śląsk.*
Kopeć X. Władysław, — Pempowo, *W. Ks. Poznańskie.*
Kortas Franciszek, — Czersk, *Prusy Zachodnie.*
Kościuszko Antoni, — Granowo, *W. Ks. Poznańskie.*
Kowol Jan, — Stanice, *Górny Śląsk.*
Kozak Feliks, — Bobowa, *Galicja.*
Królikowski Ludwik, — Zywiec, *Galicja.*
Krynicka Marja, — Hujcze, *Galicja.*
Krzykała Karol, — Bieńkowice, *Górny Śląsk.*
Krzysztofik Marja, — Jastrzębia, *Galicja.*
Kunysz Roman, — Kraków, *Galicja.*
Lipiński X. Edmund, — Sędzin, *Królestwo Polskie.*
Lisowski Jan, — Lanerówka, *Galicja.*
Łochowicz Piotr, — Kcynia, *W. Ks. Poznańskie.*
Łopatkiewicz X. Adrjan, proboszcz, — Zbiersk, *Królestwo Polskie.*
Łukowska Franciszka, — Krotoszyn, *W. Ks. Poznańskie.*
Marmułowska Katarzyna, — Gołciewo, *Prusy Zachodnie.*
Matoń Jan, — Wielowieś, *Górny Śląsk.*
Michalczyk Jędrzej, — Łapczyca, *Galicja.*
Mielcarek Stefan, — Praszka, *Królestwo Polskie.*
Milczanowski X. Jan, — Przemyśl, *Galicja.*
Mnich Ewa, — Karlubice, *Górny Śląsk.*
Muka Joanna, — Tarnowice, *Górny Śląsk.*
Musiał Jan, — Jastrzębia, *Galicja.*
Nawa Nikodem, — Zawodzie, *Górny Śląsk.*
Nikulina Marjanna, — Lisia Góra, *Galicja.*
Pągowski X. Jan, proboszcz, — Wyszanów, *W. Ks. Poznańskie.*
Pantaluk Marja, — Gwoździec Mały, *Galicja.*
Pawołka Antonina, — Jastrzębia, *Galicja.*
Paździor Rozalja, — Stary Ujazd, *Górny Śląsk.*
Peż Tomasz, — Janków przygodzki, *W. Ks. Poznańskie.*
Pieczka Paweł, — Gilowice, *Górny Śląsk.*
Piela Józefa, — Stary Ujazd, *Górny Śląsk.*
Płonka Józef, — W. Łagiewniki, *Górny Śląsk.*
Pośpiech Antonina, — Rosżowice, *Górny Śląsk.*
Przyborowski X. Karol, proboszcz, — Kołomyja, *Galicja.*
Przybylski Stanisław, — Sepienko, *W. Ks. Poznańskie.*
Rataj Szczepan, — Krzywiń, *W. Ks. Poznańskie.*
Reańczyk Grzegorz, — Trawnik, *Górny Śląsk.*
Rozmus X. Michał, — Wiśnicz, *Galicja.*
Rutkowski Jan, — Powidz, *W. Ks. Poznańskie.*
Saternus Marja, — Rożdzień, *Górny Śląsk.*
Skoczyński X. Józef, — Kościelec, *Galicja.*
Skwierczyńska Julja, — Kraków, *Galicja.*
Sławik Franciszek, — Wrocław, *Średni Śląsk.*
Słoniewicz Ignacy, — Buk, *W. Ks. Poznańskie.*
Sojka Zuzanna, — Góra, *Górny Śląsk.*
Sokół Katarzyna, — Jastrzębia, *Galicja.*
Sonsala Feliks, — Rokietnica, *Górny Śląsk.*
Stanuch Kazimierz, — Jastrzębia, *Galicja.*
Stranz Andrzej i Józefa, — Sokołów, *W. Ks. Poznańskie.*
Swoboda Beata, — Rozbark, *Górny Śląsk.*
Szamocki X. Wincenty, proboszcz, — Husiatyn, *Galicja.*
Szczepańska Ewa, — Chicago, *Stany Zjednoczone.*
Szelbracikowska Franciszka, — Więcbork, *Prusy Zachodnie.*
Szlachcic Antoni, — Gwizdów, *Galicja.*
Szymański Maciej, — Siedlików, *W. Ks. Poznańskie.*
Topolnicki Emiljan, — Lwów, *Galicja.*
Trela Jan, – Izdebnik, *Galicja.*
Ulman Józef — Jastrzębia, *Galicja.*
Urban Franciszek, — Jastrzębia, *Galicja.*
Wojtacha Petronela, — Repty, *Górny Śląsk.*
Wróbel Józefa, — Lubie, *Górny Śląsk.*
Żak Franciszek, — Monowice, *Galicja.*
Załawska Marja, — Jastrzębia, *Galicja,*
Zdechlik Mikołaj, — Ligota, *Górny Śląsk,*
Zduń Józef, — Skawa, *Galicja.*

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków! Amen.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia salezjańska. (B. S.) — Turyn, 1908.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).